

WIAS

tygodnik społeczno-literacki

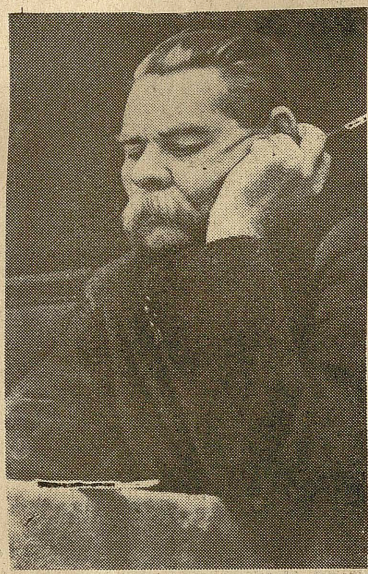
Rok VI

Warszawa, dn. 16 października 1949 r.

Nr 42 (221)

PIOTR CHMURA

PAMFLETY GORKIEGO



Maksym Gorki

„Wśród poświęconych krytyce kapitalizmu utworów Gorkiego, w chwili obecnej na szczególną uwagę zasługują jego szkice i pamflety o Ameryce”.

Pisał je Gorki bezpośrednio po powrocie ze Stanów Zjednoczonych A. P. w r. 1906. Czterdzieści lat nie stopio ostrza pamfletów, przeciwnie wzrosła ich siła oskarżenia i uwydatniła się trafność wybranych tez oskarżenia. Czas potwierdził w pamfletach to, co było w nich genialnym przewidywaniem, co zarysowało strukturę i perspektywę nowego etapu kapitalizmu.

Bo Gorki zobaczył w Ameryce nie to, co przemialo, lecz to co się dopiero rodziło. Zobaczył: imperializm.

Lenin udowodnił w r. 1914, że 1) szesdziesiąte i siedemdziesiąte lata to najwyższy, końcowy szczybel rozwoju wolnej konkurencji. Zaledwie dostrzeżalne zarodki monopolu, 2) Po kryzysie r. 1873 — szerokie pismo rozwoju karteli, ale stanowią one jeszcze wyjątek. Są jeszcze nieliczne. Są jeszcze zjawiskiem przemijającym. 3) Ożywienie w końcu XIX wieku i kryzys lat 1900 — 1903: kartele stają się jedną z podstaw życia gospodarczego. Kapitalizm przeistoczył się w imperializm.

Gorki — pisarz znalazłszy się w r. 1906 w Nowy Jorku szuka formuły literackiej, szuka przenośni, która dała odbicie obrazu współczesnej Ameryki. I wyprowadza ją z gąszczu nacierających nań wrażeń: „Ichtiozaur kapitalu” — pisał — zatarły w pamięci ludzkiej wspomnienie twórców wolności i ich czynów.

To była przenośnia artysty, który w poznaniu i rozumieniu rzeczywistości kapitalistycznej okazał się równorzędnie twórcą. Przenośnia zawiązała i niosła w sobie treść przyszłego terminu naukowego, i podobnie jak termin: „imperializm”, ona swym poetyckim obrazem zamaskowała jego rzeczywiste istnienie i demaskuje dziś tym silniej, im bardziej tragiczne doświadczenia milionów ludzi i gorzka wiedza o prawach i drodze imperializmu, porusza uczuciami oburzenia, nienawiści i walki.

„Ichtiozaur kapitalu” — to było odkrycie! Bo tam, na ulicach New Yorku, „oczy tych ludzi mówią niekiedy o ich poczuciu niezależności, lecz nie rozumieją — oni widocznie, że jest to tylko niezależność stekleiry w reku cieśli, miota w dłoni kowala i cegły w dłoniach niewidzialnego murarza, który uśmiechając się chytrze, buduje dla nich jedno, ogromne, lecz ciasne więzienie”.

Dostrzegł to pisarz w tych latach przełomowych, początku imperializmu, w latach, o których Lenin pisał dokumentarnie: „Prawie połowa całej produkcji wszystkich przedsiębiorstw kraju (w U.S.A.) w rękach jednej setnej części ogólnej liczby przedsiębiorstw! I te trzy tysiące przedsiębiorstw — olbrzymów obejmują 268 gałęzi przemysłu. Jest więc rzecz jasna, że na pewnym szczeblu swego rozwoju koncentracja sama przez się doprowadza, rzecz moczna, bezpośrednio do monopolu”. W 1900 r. 11,5% trustów w USA określono na 185, w r. 1907 — na 250.

Do korporacji należało 70% przedsiębiorstw w r. 1904 — 23,6%, w r. 1909 — 25,9% robotników w tych zakładach 70% w r. 1904, w r. 1909 — 25,9%.

1) E. Surkow „Pamflety Gorkiego o Ameryce” (Literatura Radziecka Nr 1).

2) Wł. Lenin: „Imperializm jako najwyższe stadium kapitalizmu”.

— 75,6% ogólnej liczby. Rozmiary produkcji w r. 1904 — 10,9 miliardów dol. (73,7%), w r. 1909 — 16,3 mld. dol. (79% ogólnej sumy).

Oto niewidzialny murarz, budujący „jedno, ogromne, lecz ciasne więzienie”.

„Po raz pierwszy widzę takie potworne miasto i nigdy dotąd ludzie nie wydawali mi się tak nędzni i ujarzmieni — notował Gorki. — W oczach ich nie czuję się bunt przeciw panowaniu żelaza ani nienawść do jego zwycięstwa”. Niewidzialny jeszcze imperializm, przesłaniany w masach starą, złudną nadzieją na busses i prosperity. Niewidzialny w swoich machinacjach, wciągających własny naród do udziału (również i po przez pracę) w bitwy o koncesje na dalekich lądach, o zagrabianie surowców i rynków zbytu, o imperialistyczny wyzysk.

Wróćmy znów do charakterystyki imperializmu Lenina:

„Pomiędzy niewielu bankami, które wskutek procesu koncentracji pozostają na czele całego gospodarstwa kapitalistycznego, naturalnie coraz bardziej zaznacza się i wzmacnia dążenia do monopolistycznego porozumienia, do trustów banków”.

„W Ameryce nie dziewięć, ale dwa największe banki miliardów Rockefellera i Morgana panują nad kapitałem wysokości 11 miliardów marek”.

„Jednocześnie rozwija się, że tak powiem, unia osobista banków z największymi przedsiębiorstwami przemysłowymi i handlowymi, zlanie się jednego i drugiego za pomocą posiadania akcji, za pomocą wstępowania dyrektorów banków do rad nadzorczych przedsiębiorstw handlowo-przemysłowych i odwrotnie”.

„Tak więc wiek XX oto punkt zwrotny od kapitalizmu dawnego do nowego, od panowania kapitału w ogóle do panowania kapitału finansowego”.

A w tych właśnie pierwszych latach XX w. ogląda Amerykę Gorki. I widzi oczami artysty-pisarza ów punkt zwrotny. „Złoto” i procesy, które prowadzą do jego nagromadzenia oraz „złoto” jako organizator produkcji, wyzysku i pogłębiającego się rozwarstwienia społecznego w Ameryce to główny temat pamfletów, demon stręczący obywateli pisać i tropioną zawzięcie przez Gorkiego.

„Bryła Złota — to serce miasta. Życie całe podporządkowuje się jego uderzeniom, a cały sens życia — to zwiększająca się ciągle objętość tego serca”.

W tym właśnie celu ludzie rzyli całym dniami z ziemi, kują żelazo, budują domy, oddychają dymem fabrycznym, wchłaniają wszystkimi porami brud z zatrutego, chorego powietrza”.

To jest nowa sytuacja w kapitalizmie. Jego najwyższe i pasywniejsze bez miary, gnijące równocześnie stadium.

Gorki szkicuje rozmowę z milionerem, monopolistą.

— Co pan robi z pieniędzmi?
— Robię z nich znowu pieniądze...
— Po co?
— Żeby zrobić więcej pieniędzy...
— Po co?

Pochylił się ku mnie i opierając się łokciami o poręcz fotelu z lekkim odciśnięciem zaciękwienia zapytał:

— Czy pan jest wariatem?
— A pan? — odpowiedziałem zapytaniem.

Lenin pisał o tych samych latach: „Imperializm jest to olbrzymie nagromadzenie w niewielu krajach kapitału pieniężnego, który osiąga, jak widzieliśmy, 100 — 150 miliardów franków w państwach wartościowych. Stąd raczej zwykły wzrost klasy, albo raczej warstwy rentierów, czyli osób, żyjących z „obełniania kuponów” — osób zupełnie oderwanych od udziału w jakimkolwiek przedsiębiorstwie — osób, których zawodem jest próżnowanie. Wywóz kapitału, jedna z najbardziej ekonomicznych podstaw imperializmu, jeszcze bardziej wzmacnia to najzupełniejsze oderwanie warstwy rentierów od produkcji, wyciska pętno pasywności na całym kraju, żyjącym z wyzysku pracy kilku krajów zgraniczonych i kolonii”.

Gorki widzi, że ręce „królów amerykańskich”, ogarnęły całą kulę ziemską, podniosły ją ku głębokiej i ciemnej paszczy i paszcza ta zachystując się żarłocznie śliną, ssie, gryzie i żuje naszą planetę, jak gorący pieczony kartofel”.

Jakaż jest moc dzisiaj (pierwsze to były wówczas lata XX w.) tych niekoronowanych królów? Kęśseń milionera to otchłań, „w której z łatwością można schować kościół, gmach senatu i wszystko co chcecie”.

Jaka może być na przyszłość?

Milioner wylicza swoje postulaty pod adresem rządu. „Trzeba go bezwarunkowo utworzyć na innych zasadach. Członkowie rządu — wszyscy — powinni być akcjonariuszami przedsiębiorstw — przemysłowych, wtedy szybciej i łatwiej zrozumieją interesy kraju. Obecnie zmuszony jestem kupować senatorów, by ich przekonać, że niezbędne mi są... różne drobności. A wtedy — to będzie niepotrzebne”.

„Powiedział: „rząd powinien nawiązać bliższy kontakt z życiem. W tym celu wszyscy jego członkowie muszą być wybierani spośród milionerów. Tak”!

„Państwo-rentier — wyjaśniał Lenin — to państwo pasożytnicze, gnijącego kapitalizmu i okoliczność ta nie może nie odbijać się na wszystkich społeczno-politycznych warunkach danego kraju w ogóle, jak i na dwóch podstawowych prądach w ruchu robotniczym — w szczególności”.

Gorki obserwuje ten proces na dostępnym mu najbardziej materiale — zjawisku kultury. Są to objawy wtórne, ale ta ich pochodność tym wyraźniej wskazuje na źródła. Nadanie idzie z góry. Milioner pytany o sady o sztuce, odpowiada: „O! nie myślę o niej wcale, po prostu ją kupuję... Ma się rozumieć, że mam wymagania... sztuka powinna być zabawną — tego właśnie wymagam”. Nauka? — „Pożyteczną al-

bo zabawną naukę robi Edison. Owszem. Fonograf, kinematograf — to pożyteczne. Ale dużo książek naukowych — to zbyteczne. Ludzie nie powinni czytać książek, które mogą wzbudzić w umysłach... różne wątpliwości”.

W głębokich cieśninach ulic widzi Gorki jak „wszystkie głowy kryją się pod jednokowymi okrągłymi kapeluszami, wszystkie mózgi jak, to widać po oczach, śpią. Praca skończona — nie ma o czym myśleć. Ludzie myślą tylko dla swego chlebowadcy, o sobie — nie mają po co myśleć. Kiedy jest robota — jest i chleb i tanie przyjemności. W mieście Złotego Diable człowiek nie ma innych potrzeb”.

„Ludzie podporządkowują się jego żądaniom, kupują niepotrzebne tandety i oglądają widowiska, które ich ogłupiają”.

„Stoję. To przecież nie życie, to obłęd — woła Gorki do ludzi na przynajmniej ulicach — „ale nikt z nich nie czuje się pewnie nieszczęśliwy, że jest niewolnikiem życia i strawą miasta-potwora”. To są ludzie — jeszcze „tragikomicznie z siebie zadowoleni”. Dopiero tam w bocznych i mrocznych ulicach „człowiek rzuca się w oczy, słysząc jego gniewny, rozdrzewiony, dyszący zemstą głos. Człowiek ma tu swoje oblicze. Maluje się na nim głód, podniecenie, tęsknota. Widać, że ludzie potrafią tu czuć i myśleć. Mówią się w brudnych rynsztokach”.

Gorki miał za sobą rewolucję 1905 r. W Ameryce, w New Yorku bliższym wydał mu się człowiek z ponurych przedmieść, nie tylko przez współczucie dla najbardziej wyzyskiwanych i poniżanych, ale również

przez wiarę w jego rewolucyjną przyszłość. Tylko ten człowiek, na którego obliczu „maluje się głód, podniecenie i tęsknota” może w przyszłości dojrzeć do tego aby „złamał, zburzył całą tę ohydę”.

Tylko tu, na tragicznych przedmieściach błyskają iskierki nadziei. W centrum miasta „ze ścian domów, sztydów i okien restauracyjnych bije oślepiający blask płynnego złota... Spisuje (ono) tak samo przeciw człowiekowi jak żelazo, kamienie i drzewo, a oślepiając go, rozkazuje”. Te neony, ta nowa wówczas oślepiająca luna elektryczności w centrum to była manifestacja dwu mocarstw elektrycznych. Tow. Thomson-Houston i Tow. Edisona. „Innych — jak pisało już w tych latach — zupełnie niezależnych od nich towarzyszów elektrycznych nie ma na świecie”. Gorki wracając wielokrotnie w swoich szkicach do tej pozoży światła, czyniąc z nich trop literacki, obstrajając jak refren w coraz to nowe, pełniejsze akcenty, odkrył jeszcze jedną z cech imperializmu: podział świata między związki kapitalistów. Natarczywość neonowych reklam mówiła o strefie wpływów na określony czas i w określonym zakresie tutaj, w centrum. Oślepiające światło było symbolem królestwa uciech i zabaw. W „odmęcie blichtru i nudy” uzgadniały się interesy obywateli moralistów i cynicznych organizatorów szalu. Z jednej strony widokowo ostrzegawcze: Nie grzesz, z drugiej — przyjemnie jest grzeszyć!

„Ten beznamiętny spacer tu czy tam jednakowo ogłupia i jest zresztą jednakowo korzystny bądź dla handlarzy moralności, bądź dla sprzedawców rozpusty” — pisał Gorki.

Jego obraz centrum miasta z burząją milionerów i sytem jeszcze drobniejszymi zjawiskami usiłuje środkami artystycznego opisu wytworzyć wrażenie zaczerpniętego kregu. Panuje tu hipnoza. Wytwarza ją imperializm.

„Ichtiozaur kapitalu” „stają się niewidzialnymi murarzami”, „zato miast więzienie coraz wyraźniejsze, coraz ciśniejsze. Mówi o nim ów brak powszechny buntu przeciw panowaniu żelaza i złota, owo myślenie tylko dla chlebowadcy, ów gust do tandety i widowisk które ogłupiają, to tragicomiczne z siebie zadowolenie, ten slogan, wciąż jeszcze ludzki: „Amerykanie to najlepsi ludzie na całej kuli ziemskiej. Mają najwięcej pieniędzy”.

Gorki ukazał wiele postaci i form tej hipnozy, wytwarzanej przez grabarzy średnich i drobnych przedsiębiorców, kupców i spekulantów, nie mówiąc już o masach robotniczych, o masach kolorowych narodów i imigrantów. Grabarze — to wielkie kombinaty przemysłowe, trusty i monopole, to — banki-ośmiornice, kapitał finansowy. Słowem — imperializm, który przeprowadza podział świata między związkami kapitalistów, podział świata między wielkimi mocarstwami. Gorki przewidywał narastanie powiązań między dawnym pojęciem prywatnego kapitalizmu a rządem współczesnego mocarstwa kapitalistycznego. Monopolizm w rządzie, rząd monopolistów. Na początku pierwszej wojny światowej burżuazjni ekonomiści chcieli wiązać nadzieje na stały pokój z „interimperializmem”. Reformiści socjal-demokratyczni w rodzaju Kautskiego z „ultra-imperializmem”. W tej grze słów szło o to samo, o uznanie drogi imperializmu. Oto siła hipnozy imperializmu. Gorki zarysowuje mechanizm tej hipnozy, odsłania kulęgarską sztukę wymuszającą na masach drobniomieszczan i artystów robotniczych i niżej nawet — fakt przyzwolenia z ich strony na imperializm.

Jest to sztuka obezwładniania mas przez moralizm. „Gdy człowiek posiada pieniądze, woty, osły, niewolników — wyklada szef biura wytwarzania dowolnych nastrojów w opinii publicznej — jest moralistą”.

„Moralność najsurowsza jest tam, gdzie przeciwstawia ekonomiczne zastraszają się najbardziej. Im więcej mam pieniędzy, tym surowszy ze mnie moralista. Dlatego właśnie w Ameryce, gdzie jest tak wielu bogaczy głoszą oni moralność o siłę stu koni parowych. Jasne?”

„Biuro chroni wyższe klasy społeczeństwa amerykańskiego przed sędem ludu, a jednocześnie — wśród

nieustannego wrzasku o wykroczeniach przeciw moralności — otumania lud drobnymi skandalikami organizowanymi celem zatuszowania demoralizacji bogaczy. Lud znajduje się stale pod hipnozą, nie ma czasu myśleć samodzielnie, słucha tylko gazet. Gazety zaś należą do milionerów zarówno jak i biura. Pan rozumie? To bardzo oryginalne”.

„A więc: moralność jest pożyteczna dla bogacza i szkodliwa dla reszty ludzi, ale — jednocześnie jemu jest ona niepotrzebna, lecz jest niezbędna dla wszystkich”.

Jemu jest niepotrzebna. „Wyznaje pan mocno zasadę: nie zabijaj! Bo życie jest panu drogie przyjemne, pełne rozkoszy. Nagle w pańskich kopalniach węgla robotnicy żądają podwyżki, chcą nie chcą zwyżać pan żołnierzy i — trrach! — zabito kilkudziesięciu robotników. Albo — nie ma pan zbytu na towary. Zwraca pan uwagę na ten fakt swemu rządowi i przekonuje go o konieczności stworzenia nowego rynku zbytu. Rząd uprzejmie posyła do Azji albo Afryki niedużą armię i spełnia pana żądanie, zabijając kilkuset albo kilka tysięcy tubylców... Wszystko to niezbyt harmonizuje z kazaniami o miłości bliźniego”. Ale... „państwo — to pan. Oczywiście o ile jest pan bogatym człowiekiem”.

Gorki z uporem analizuje proces hipnozy imperializmu. Kierunek i skutki jego „wychowania”. Bo zdaje sobie sprawę, że nie pełni ona tylko funkcji zahamowywania woli i świadomości mas. Przeobraża ją na obu skrzydłach: wyższych, średnich i pośrednich klas, przeobraża również strefę metów, dółów społecznych, imigranckie getta.

Pierwsze skrzydło, które się tłoczy w centrum New-Yorku, zatrzymuje toksynami amoralizmu sensacje zabaw, spekulacji i skandali. Interes klasowy o mniejszej tu skali, niż u milionerów, prowadzących krwawe walki z robotnikami i krajami pod kolonizację, na ten jednakże modernizuje je imperialistyczny wzór, tzn. — militarystyczny. Gorki pokazuje objawy tego, co zwać się później miało faszystowską psychologią na przykładzie „królestwa nudy” — t.j. najhałaśliwszych, najbardziej oświecających miejsc zabaw. Opis cyrku z r. 1906 przywodzi na pamięć niedawne „rozprawy norwemskie”, a bardziej jeszcze rozprawy lokalne nad pomniejszymi przestępami hitlerowskimi. Cóż Gorki zobaczył w cyrku new-yorskim? „Żądny krwi tłum boi się, pragnie widoku krwi i nie chce go zarazem, lecz rozkoszuje się, wyżywa w tej ponurej walce wewnętrznej”. To był rok 1906. Jad i hipnoza imperializmu zaczynały dopiero działać. A i w przyszłości odpowiedzialność i kierownictwo mieli podjąć... Forresterowie. Ale ten kierunek na wychowanie do okrucieństwa i gwałtu Gorki przenikliwie dojrzał. Scena z małpą, która broni swego maleństwa a tłum czyni sobie zabawę z odbierania jej dziecka ma wymowę, której historia następnych — 40 lat nie odjęła nic z mocy, przeciwnie, pogłębiła i rozszerzyła symbolikę obrazu.

Na drugim skrzydle w zaułkach przedmieść buntarstwo ma jeszcze iorny i cele ślepego anarchizmu. „Nie ma miejsca na wolną myśl twórczą tam, gdzie trudzą się niewolnicy; kwitną tam tylko idee niszczycielskie — trujące kwiaty zemsty i gwałtowny, zwierzęcy protest”.

„Ale — „wypaczając człowieka duszę, ludzie nie mogą liczyć na jego litość. Człowiek ma prawo zemsty — ludzie sami dali mu to prawo”.

Obrazy, groteski, karykatury, szyderstwa i chłosty jakie rzucił Gorki w pamfletach na Amerykę rozwijały nie tylko widok na zaranie imperializmu ale i jego krytykę. „Świat kapitalistyczny ulega rozkładowi, ginie” w tej fazie. To był wywód Gorkiego.

Rozkład i gnicie schodzi głęboko w dół. Bandytyzm, spelunki, gangsterstwo, tak, ale to znaczy tylko, że później i trudniej przyjdzie tym z dna wymierzyć akt zemsty, jako akt wyzwolenia się do świata sprawiedliwości społecznej i twórczego pokójku.

Dlatego pamflety Gorkiego dziś pomagają nam zrozumieć te trudności i tym silniej nienawidzić tych, którzy odpowiadają za te hipnoze dodatkowo, poza uprawianym wyzyskiem, grabieżą i kolonizacją marszałkowską.

Piotr Chmura

WISSARION SAJANOW

WARSZAWA

Jest most na Wiśle na pontonach,
Nad nim się syczy blask zielony,
W przedziwniejszy i we mgłach,
Ogniem zachodu opalony
Często powraca w moich snach.

Kołysze się na falach wolno
Ciężkich i dymnych, smutku pełnych
Most pontonowy, a o zmroku
W gorzkim powiewie od zachodu.

Pył gwiazd na niebie drży rozarty,
Biegna ogniki po przewodach,
I stoja nieruchome warty
U zjazdu ku wiślanym wodom.

Wygnańcy dzisiaj ścieżką mglistą
Za Szprewy przyszli ciemnym tłumem,
By w utęsknione nieb ojczystych
Dogasające spojrzeć luno.

Przez ogród na nadzrecznym stoku,
Dwoma drogami aż po kres,
Gdzie przewoźnicy drzemią w mroku,
W milczeniu ciężkim, wolnym krokiem
Zdążają ku alei lez.

Mijają na rogatkach strażę,
A z kłonów pada pył złotawy,
I rytmem serca bije w twarze
Popiół zburzonej w proch Warszawy.

Dziewczyna szła wygnańców drogą:
We łzach skłoniła na dół głowę,
Nie wierzyłbym, że rysy mogą
Być tak szlachetne i surowe.

I nagle zdała mi się sama,
Jak jakaś z baśni dawnej panna
Ze staroświeckich wierszy wyszła,
Światłem promiennym opasana,
Ponad topielą fal pienistą.

Wiedziałem, że już nigdy więcej,
Kiedy na zachód szedłem z wojskiem,
Nie spojrzę w oczy jej dziewczęcą
Była jak postać samej Polski.

Na gruzach miasta długo stała,
Wieczorem biała i wyniosła,
I wrosem suchym mi pachniała
Spóźniona nadwiślańska wiosna.

Tłum. Anna Kamińska

W. KRUPIAŃSKA i L. STARCEWA

FOLKLOR WSI KOLCHOŹNICZEJ*

W lecie 1948 r. Instytut Etnograficzny zorganizował ekspedycję naukową w obwód stalingradzki, mającą na celu zbieranie folkloru kolchozu. Przed ekspedycją stało zadanie zaobserwowania tych nowych zjawisk, które powstają i rozwijają się w twórczości ludowej na polu poezji w związku z nowymi socjalistycznymi formami pracy i bytu wsi kolchoźniczej. Specjalną uwagę zwrócono na wyjaśnienie tego, jak nowy światopogląd radzieckiego człowieka wpływa na stronę ideową współczesnego folkloru, co w nim zamiera jako przeżytek i jako rzecz obca radzieckiej rzeczywistości i jak z kolei nowy folklor oddziałuje na świadomość członków kolchozu. Zadania te w znacznej mierze określiły metodę pracy terenowej. Nie oddzielnie badanie twórczości poszczególnych twórców i ludzi żyjących kulturą ludową, nie określenie zagadnień rozwoju tych lub innych rodzajów twórczości ludowej sztucznie oderwanych od procesów zachodzących w rzeczywistości, lecz zbieranie folkloru we wszystkich jego związkach z tą rzeczywistością — oto zasada metodologiczna, stanowiąca podstawę pracy ekspedycji.

Folklor radziecki rozwija się na glebie żywej tradycji poetyckiej, co wymaga postawienia zagadnień twórczości ludowej na szerokiej podstawie jej historycznego rozwoju. Badając przejawy folkloru radzieckiego ekspedycja badała równocześnie także folklor tradycyjny, dokładnie rozgraniczając przy tym to, co trwa w pamięci tylko poszczególnych ludzi od tego, co ma szerokie rozpowszechnienie i posiada dziś jeszcze rzeczywistą siłę.

Pracę przeprowadzano w dwóch rejonach obwodu stalingradzkiego: Podteliowskim i Nowo-Annińskim. W tym ostatnim zbadało dwa przodujące kolchozy — „Bolszewickoje Znamia” i „Kolchoz imienia Kaganowicza”. Przodujący aktywnie kolchozy (przeszło 30 ludzi) byli nagrodzeni za swoją pracę wysokimi nagrodami państwowymi.

W przeszłości były to głucho, za padłe wioski z zacofanymi formami gospodarki i bardzo niskim ogólnym poziomem kultury. Dla osady kozackiej przed rewolucją charakterystyczny był prawie powszechny analfabetyzm wśród kobiet. Pierwsza początkowa szkoła w osadach Solowiejskiej i Kosowskiej powstała dopiero pod władzą radziecką w 1926 roku. W latach 1927—28 zorganizowano tam kursy dla dorosłych w celu likwidacji analfabetyzmu. W okresie gospodarki kolchozów poziom kulturalny osad wzrósł niezmierznie. W ciągu ostatnich 15—20 lat z jednej tylko osady Solowiejskiej wyszło spośród młodzieży: 12 lekarzy, 8 agronomów, 12 nauczycieli itd. Wytworzyła się własna inteligencja techniczna. Nadzwyczajnie charakterystyczne są w tym wypadku słowa kolchoźnika I. Jakuszewa: „Technika to wielka siła w kolchozie. Sam policz, z naszego kolchozu wyszło 2 starszych mechaników stacji traktorowej, dwóch mechaników oddziałowych oraz 11 brygadistów w grupach traktorowych. To już nie kolchoz, ale szkoła mechaniczna i szkoła gospodarstwa wiejskiego”.

W gospodarstwach i kulturalnym rozwoju kolchozów niewątpliwie ogromną rolę odgrywają punkty rejonowe i stacja maszynowo-tractorowa. W życiu badanych przez nas kolchozów ważne miejsce zajmuje Demńska M. T. S. J) będąca jedną z przodujących w Związku Radzieckim. Dla obsługiwanych osad stanowi ono centrum o wielkim znaczeniu dla życia kulturalnego. Tak więc przy Demńskiej M. T. S. istnieje radiodifonizowany klub, gdzie regularnie wyświetla się nowe filmy, czytelnia i biblioteka, licząca przeszło 20000 książek. W klubie pracują koła amatorskie (np. chóry i kółka dramatyczne), w bibliotece co 10 dni odbywają się wykłady na tematy polityki międzynarodowej i o zagadnieniach popularnych naukowych. W samych osadach również istnieją własne kulturalno-oświatowe punkty: czytelnia i biblioteka. Gospodarze osiągnięcia badanych przez nas kolchozów w znacznej mierze uwarunkowane są racjonalną organizacją pracy, ciągłością kadr kolchoźniczych i rozwiązaniem sił produkcyjnych na grupy (zwieno). Grupa kolchoźnicza stanowi nowy dla wsi typ kolektywu związanego wspólnymi zadaniami w walce o socjalistyczną przebudowę wsi. Dlatego właśnie przeprowadziliśmy nasze badania folkloru kolchoźniczego w oparciu o kolektywne produkcyjne grupy i oddziały traktorzystów.

Zasadnicze przemiany, jakie zażyły w świadomości kolchoźników, przejawiają się także w zmianie ich stosunku do starych obrzędów, obyczajów i licznych wierzów odgrywających tak wielką rolę w życiu wsi jeszcze w niedawnych czasach. Charakterystyczny jest prawie zupełny zanik obrzędowości związanej z kalendarzem. Proces ten zaczął się zresztą jeszcze dawniej przed rewolucją. Wyjątkowo jednakże trwałość posiada obrzęd weselny. Jeszcze obecnie małżeństwo uważa się za rzeczywiste dopiero wówczas, gdy odbyło się wesele zgodne z ludowym obyczajem. Pomimo to obrzęd weselny uległ silnym zmianom. Nowe, umocnione stanowisko kobiety w rodzinie i w kolektywie, jej czynna rola w produkcyjnym i spo-

żożnym życiu kolchozu, w którym zajmuje ona jedno z naczelnych miejsc zmieniło zasadniczo sam stosunek do weselnego obrzędu. Istotne jest to, że z obrzędu weselnego znikły zupełnie wszystkie momenty wynikające z poddańczego i niestęchanie ciężkiego położenia kobiety w przeszłości. Tak na przykład wypadły z obrzędu zupełnie takie elementy jak oplakiwanie przez pannę młodą swojej wolności dziewczęcej. U młodego pokolenia kobiet, zauważyliśmy nie tylko pogardliwy, ale prawie wrogi stosunek do obrzędowego zawołania. Na przykład, kiedy na weselu, na którym udało nam się uczestniczyć w osadzie Ostrowickiej, kobiety z własnej inicjatywy, pragnąc zapewne poznać nas ze starym obrzędem, rozpoczęły tradycyjne zawołanie, wywołało to widoczne niezadowolenie i potępienie ze strony obecnych. Jedną z krewnych panny młodej z oburzeniem powiedziała: „Pocoście zawyły jak po nieboszczyku. To nie pogrzeb a wesele”. Młodzież żartowała: „Chcą doprowadzić naszą Maruszkę do tego, ale nic z tego, nie rozpiacze się”. Kobiety nie dokończyły swego lamentu. Prawie zupełnie znikły także pieśni weselne związane z poszczególnymi momentami obrzędu. Tak na przykład charakterystyczne jest, że na weselu w czasie sadzania panny młodej za stół weselny przed przyjazdem młodego zamięst obrzędowej pieśni: „To nie biała zorza zapala się, to ci co mnie rozłączyła, zbierają się”, obecnie śpiewa się jakakolwiek pieśń, przeważnie „Po dzikich stepach Zabajkala”. W zasadzie znikło i to wszystko, co było związane z magią obrzędową. Tak na przykład obecnie drużba może być każdy, a jeszcze niedawno wymagano od niego znajomości obrzędów, niezbędnych dla ustrzeżenia młodych od czarów.

Zmienił się także jeden z zasadniczych elementów obrzędu weselnego — swaty. Ich rola obecnie sprowadza się do umowy obu stron o dniu wesela i o wszystkich gospodarskich sprawach przysięgłego małżeństwa. W istocie jednak sami młodzi decydują o wstąpieniu w związek małżeński. W wielu wypadkach obrzęd weselny sprowadza się już do szeregu wieczornic, zawierających poszczególne tradycyjne momenty obrzędu. Jeszcze obecnie uczestniczą w obrzędzie przede wszystkim krewni. Sąsiadów zaprasza się tylko w rzadkich wypadkach.

Nie udało nam się niestety poznać dostatecznych sprostowań na temat współczesnej rodziny kolchoźniczej. Niewątpliwie jest jedno: życie rodzinne w obecnej chwili zmieniło się zasadniczo. Kobieta, która stała się równoprawną, a w szeregu wypadków przodującym członkiem kolektywu, zajmuje obecnie również równoprawne miejsce w rodzinie. Zmieniły się także wzajemne stosunki i innych członków rodziny. Tak więc jednym z charakterystycznych zjawisk dawnego życia rodzinnego było przyjęcie w domu „zięcia”, przy czym „na zięcia” szli przeważnie biedniacy albo sieroty, a ich sytuacja w rodzinie żony była poniżająca i ciężka. Nie na darmo powstały przysłowia: „Zięciowa suba zawsze pod ławą”, albo o psie bez ogona: „Pewno był w zięciach, bo ogon zgubił”.

Przyjęcie w dom zięcia jest zjawiskiem rozpowszechnionym szeroko i we współczesnym życiu wsi.

Charakterystyczne, że w osadzie Solowiejskiej w ciągu ostatnich trzech lat przyjęto z różnych, przeważnie blisko położonych wiosek aż 15 zięciów. Jak niejednokrotnie udało nam się słyszeć, w kolchozie „Bolszewickoje Znamia”, młodzi ludzie idą „na zięcia” chętnie, nawet same dziewczęta nie chcą wychodzić ze swojego bogatego kolchozu. Leży to także w interesie kolchozu, ponieważ w ten sposób uzyskuje on dla swojego kolektywu młodą, przeważnie wykwalifikowaną męską siłę. To nowe społeczne oblicze „zięcia”, mającego w przeszłości tak bardzo żalną dole określenie, także nowy charakter wzajemnych stosunków rodzinnych opartych obecnie na równouprawnieniu i szacunku.

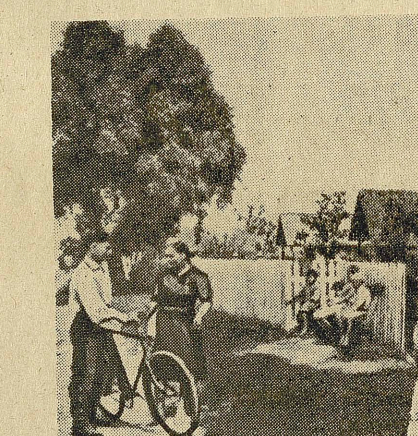
Grupy kolchoźnicze stanowią widoczne podłoże dla istnienia i rozwoju folkloru, a szczególnie pieśni ludowej. Wyjeżdżając razem z grupami kolchoźniczymi w pole i przebywając tam w ciągu całego dnia roboczego, mieliśmy możliwość zauważyć jak wielkie znaczenie posiada w życiu kolchozu pieśń. Każda grupa ma swoje własne pieśniarki. Często śpiew prowadzi sama grupowa. Tak np. znakomitymi śpiewaczkami kolchozu „Bolszewickoje Znamia” są grupowe — „Bohaterki pracy” A. Aksenowa i odznaczona medalami Ch. Makarowa. Grupa bardzo ceni swoje utalentowane pieśniarki. Na przykład w grupie Aksenowej taką cenioną śpiewaczką i tancerką jest Domna Denisowa, 52-letnia kobieta, odznaczająca się niezwykłą ruchliwością i wesołością. W grupie nazywają ją pieśzczotliwie „Domaszka”. Z jej bogatego repertuaru grupa czerpie przeważnie swoje pieśni. Niewątpliwie repertuar poszczególnych uzdolnionych śpiewaczek nadaje swoiste piętne repertuarowi grupy w całości.

Dońscy Kozacy od dawna sławni byli ze swojej wysokiej kultury pieśniarskiej. Tradycyjne pieśni znajdują się i dziś jeszcze w ich repertuarze śpiewaczym. Do takich należą weselne pieśni taneczne t. zw. „krugowye”. W treści swojej pieśni te są odbiciem dawnego życia kozackiego. Ich związek z obrzędem weselnym określili tematycznie w zasadzie — rodzinną. W szeregu pieśni barwnie odbija się życie młodej kobiety w cudzej rodzinie „pod okiem „srogiej świerki”. Ciężkie zamięst przeciwstawia się w pieśniach jej wolności dziewczęcej w domu rodziców. Przez pieśni taneczne przeżywa się jako motyw przewodni mi-



łość — przeważnie utajona, zakazana, zdrada, wzajemne stosunki męży i żony itd. Pieśni te stanowią swojego rodzaju protest kolektywu przeciwko despotyzmowi i uciśkowi patriarchalnej rodziny. Te same motywy charakterystyczne są także dla kobiecej liryki miłosnej. Wojskowy tryb życia kozacka położył na tej liryce swoiste piętno. Charakterystyczne są dla pieśni liryckich motywy: samotności, oczekiwania, tęsknoty za mężczyzną, który poszedł na wojnę itd.

W dawniej liryce kobiecej dają się wyróżnić dwie warstwy: tradycyjna ludowa pieśń lirycka, zajmująca od dawna centralne miejsce w że-



skim repertuarze i miejski „romans” już od dawna stopniowo przesaczkający się w środowisko kozackie i przetwarzany przez nie twórczo, np. „Malwina”. „Zgubiły mnie twoje oczy” i szereg innych pieśni łączących z t. zw. „okrutnym romansem”.

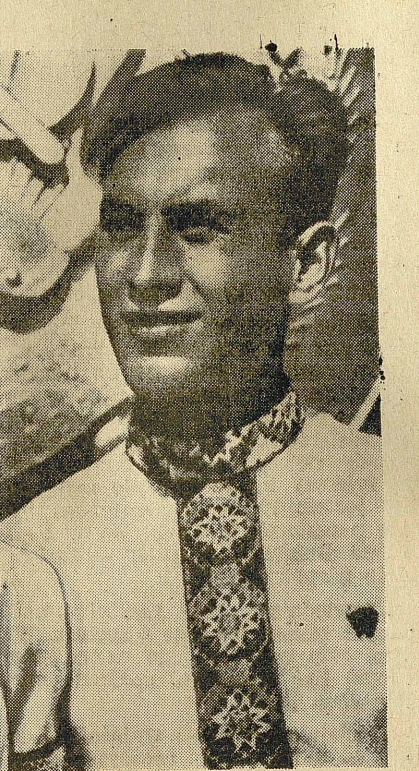
Należy zaznaczyć, że stosunek śpiewaczek do ich poetyckiego dziedzictwa jest nadzwyczaj żywy i aktywny. Świadczy o tym nie tylko wysoka wartość artystyczna tekstów, ale i twórcze przyswojenie ich przez kolektyw. Charakterystyczne, że wiele dawnych pieśni dla tego właśnie zdobyło obecnie popularność, że zostały one przyjęte przez śpiewające je kolchoźnice jako pieśni odnoszące się do współczesności.

W związku z tym starsze kolchoźnice objawiają wielkie zainteresowanie dla współczesnej pieśni radzieckiej. Najbardziej aktywne rolę odgrywają tutaj przodujące członkowie grupy, a zwłaszcza sami grupowi. Obserwowaliśmy niejednokrotnie swoiste współzawodnictwo między grupami w doborze nowych pieśni odbijających rzeczywistość radziecką, przy czym każda grupa stara się pierwszą przyswoić sobie nową pieśń. Tak np. z uczuciem pewnego żalu Aksenowa opowiadała o tym, że grupa Makarowej pierwsza nauczyła się „Kozackiej dumy o Stalinie”, która jest nadzwyczajnie wszystkim podobna. Z kolei grupa Aksenowej zaczęła śpiewać jako nową, starą kozacką pieśń „Pójdę, wejdę do stajenki”, która została przyjęta przez kolchoźnicę jako echo niedawno minionej wojny. Kierownictwo kolchozu stara się podtrzymać inicjatywę kobiet w ich poszukiwaniach nowych, związanych z rzeczywistością radziecką, pieśni. Najbardziej udane pieśni nagradza się.

W repertuarze starszych kolchoźniczek w znacznej mierze także masowa pieśń radziecka. Tak więc ogólna popularnością cieszą się: „Katusza” i „Mgły, moje mgły”

Isakowskiego, a także niektóre pieśni z Wojny Ojczyźnianej. Ciekawe, że dotychczas cieszą się popularnością także niektóre pieśni z okresu wojny domowej np. pieśni Demiana Biednego.

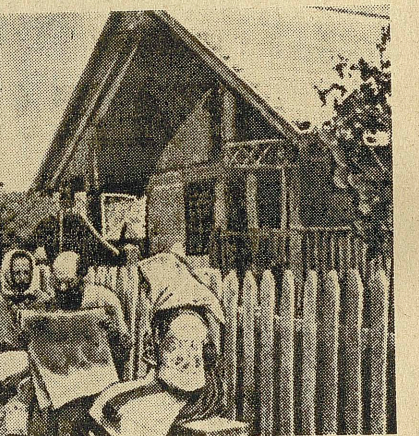
Inny charakter posiada repertuar młodzieży. Młodzież odgrywa wielką rolę w produkcyjnym, społecznym i kulturalnym życiu kolchozu. Przeważna liczba młodzieży pracuje w brygadach rolniczych, oddziałach traktorowych i na gospodarstwach mlecznych. Istnieją i oddzielne grupy młodzieżowe, którym zwykle porucza się najtrudniejsze i najodpowiedzialniejsze prace. Tak np. w „Kolchozie im. Kaganowicza” gru-



pa młodzieży komsomolskiej należy do najlepiej pracujących. W gorące dni żniwne grupa ta pracuje prawie całe doby.

Przodująca część młodzieży kolchoźniczej to traktorysty i kombajnerzy. Większość z nich to uczestnicy Wojny Ojczyźnianej. Traktorysty ze względu na swoją pracę pozostają w ścisłych związkach z Demianką M. T. S. Dlatego też oni zwykle pierwsi dowiadują się o nowościach literackich, filmach, nowych masowych pieśniach, co nie pozostaje bez śladu i dla życia młodzieży kolchoźniczej sąsiednich osad.

Ekspedycja starała się wykryć,



czym żyje młodzież, jakie są jej zainteresowania i życzenia, co czyta. Przeprowadzona przez ekspedycję analiza lektury młodzieżowej wykazała wielkie zainteresowanie dla książek poświęconych Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. Ogólna popularnością cieszą się książki: „Młoda Gwardia” Fiediejewa, Polewoja „Opowieść o prawdziwym człowieku”, „W okopach Stalingradu” Niekrasowa, „Dusze nieujarzmione” Gorbatawa i inne. Powieść Ostrowickiego: „Jak hartowała się stal”, stanowi także jedną z ulubionych książek młodzieży kolchoźniczej. Zupenie wyjątkowe miejsce, zwłaszcza w rejonie Podteliowskim zajmują powieści M. Szołochowa: „Zorany ugor”, a zwłaszcza „Cichy Don”. Powieść ta głęboko przejmującą, zwłaszcza starsze pokolenie. Czytają go ciele od nowa, oceniają namietnie, zwłaszcza z punktu widzenia rzeczywistości historycznej. Książkę tę znają prawie na pamięć. Cenią również utwory Gorkiego, Tolstoja, Turgieniewa i innych.

Już ten powyższy i niepełny przegląd lektury wyraźnie świadczy o podniesieniu się kultury wsi kolchoźniczej.

Młodzież upowszechnia radziecki folklor kolchoźniczy. Ważne miejsce zajmuje w nim „czastuszka” (2) żywo reagująca na aktualne wydarzenia i odbijająca wszystkie strony prywatnego i społecznego życia wsi. Tematyka „czastuszek” bywa nadzwyczaj różnorodna. Istnieją także „czastuszki” pochodzenia literackiego, przenikające w repertuar młodzieżowy z podręczników szkolnych, z książek świetlicowych, płyt gramofonowych itd. „Czastuszki” te zostają przez młodzież przyswojone i śpiewane w równym rzędzie z „czastuskami” przez siebie stworzonymi. W „czastuszkach”, dobitnie maluje się oblicze nowej młodzieży kolchoźniczej, z jej gorącym entuzjazmem, z jej stałym dążeniem do nowych osiągnięć pracy, z jej ogromnym patriotyzmem dla wia-

snego kolchozu i całej Radzieckiej Ojczyzny.

Chodź, mój miły, zobacz,
Zobacz, co za żyto,
Oblicisz samolotem,
Pleszo nie obejdiesz!
Pójdę, wyjdę na ganeczek,
Zaspiewam ja, młoda,
Dali nam ziemię na wieki,
Zawsze będzie nasza...

Ważne miejsce w twórczości poetyckiej wsi zajmuje także lirycka „czastuszka”, miłosna. Głębokim liryzmem tchną wiersze poświęcone wiecznemu żywemu tematowi miłosnemu.

Nie ma już tego kwiatu,
Kiedy jabłoń kwitnie,
Nie ma już tej minuty,
Gdy miły idzie...

W tej głęboko liryckiej „czastuszce” odbiły się te zmiany, które można zauważyć we wzajemnych stosunkach młodzieży. Tak na przykład dla dziewczyny nie obojętne jest społeczne oblicze jej ukochanego i jego stosunek do pracy.

Chodził do mnie jeden nierób
Za mąż namawiać,
Ja z nierobem nie chciałam
Nawet rozmawiać...

W repertuarze pieśniowym młodzieży przeważa masowa pieśń radziecka. Zbadane przez nas około 50 pieśniowych repertuarów kolektywów młodzieży i poszczególnych miłośników pieśni wskazują na to, że repertuar ten nie różni się bardzo od repertuaru całej młodzieży radzieckiej. Jednak nowinki pieśniowe przenikają tutaj z pewnym opóźnieniem.

Wielka Wojna Ojczyźniana wywarła silny wpływ na twórczość poetycką współczesnej wsi kolchoźniczej. Brak analizy muzycznej pieśni z okresu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, które uzyskały masową ludową powszechność, nie pozwala sądzić o stopniu ich muzycznej folkloryzacji, lecz oczywiście i w stosunku do tych pieśni można mówić o ich miejscowych oryginalnych cechach muzycznych dających się tak wyraźnie prześledzić w przeszłości pieśniarskiego folkloru kozackiego. Jaskrawym przykładem służą tu mogą popularne rosyjskie pieśni ludowe, które od dawna weszły w kozacki repertuar pieśniarski. Pieśni te śpiewa się tu po kozacku, tj. na głosy i z dyszkantem.

Na kanwie tej właśnie miejscowej tradycji, folkloryzowało się, także wiele, utworów literackich, np. wiersz „Grebienki”, „Pojechaj kozak w obce strony”, lub fragment z poematu Puszkina „Poltawa” — „Kto to w świetle gwiazd i księżycy tak późno jedzie na koniu?”. W ostatnim przykładzie szczególnie wyraźnie uwidacznia się proces muzycznej folkloryzacji pociągający za sobą również twórcze przekształcenie tekstu słownego; wyrażało się to nie tylko w powtórzeniach oddzielnych słów i całych dwuwierszy, we wstawkach (ej, aj, da), ale i we wprowadzeniu elementu ludowej poetyki: zdrobniałych sufiksów („konik, zamiast „koń”), tradycyjnych epitetów („w zielonej dąbrowie” zamiast „w dąbrowie”), w formie „postrofy”. Tutaj wyraźnie widać już akt powstawania nowej pieśni.

Ekspedycja spotkała się również z faktem twórczości indywidualnej stojącej już na pograniczu twórczości literackiej. Taką jest np. twórczość Marii Jelfimowej (ur. w 1902 r.). Jest ona piśmienną i ocytaną kobietą, wielkim znawcą i miłośnikiem zarówno starej kozackiej jak i masowej pieśni radzieckiej. Celem jej, jak sama mówi, jest przekazać swoim słuchaczom treść ideową ulubionych przez nią utworów pisarzy radzieckich. Taką jest jej poetycka przeróbka „Opowieści o prawdziwym człowieku” Polewoja. Także jest jej poetyckie przetwarzanie poszczególnych epizodów powieści „Cichy Don” Szołochowa. Jelfimowa nazywa swoje utwory pieśniami, ponieważ układa je, a potem wykonuje pod jakąkolwiek znaną jej melodię. Pod względem artystycznym utwory Jelfimowej są jeszcze bardzo nieporadne, jednak twórczość jej jest bezwzględnie ciekawa, jako zjawisko dla współczesności typowe — wyrażające dążenie twórcy ludowego do przekroczenia ram tradycji, aby na swój sposób zareagować na rzeczywistość radziecką.

Inne rodzaje folkloru, zwłaszcza prozaiczne jak: bajka, gawęda, legenda nie noszą we współczesnym życiu wsi tak masowego charakteru.

O wiele wyraźniej rysuje się linia satyryczna nowej twórczości ludowej, przejawiająca się przede wszystkim w formie „rajka” (3). Jest to społeczna satyra na negatywne przejawy życia w kolchozie (wymierzanie nierobów, złodziei mąjatką kolchoźniczych itd.). Aktualność „rajka” decyduje o jego popularności wśród kolchoźników. Ekspedycja natknęła się na kilku przedstawicieli tego rodzaju twórczości ludowej. Jest nim np. Grzegorz Jemielianow, znany wszystkim nie tylko we własnej osadzie, ale i za jej granicami. Największą popularnością wśród kolchoźników cieszy się jego gawęda „O nierobie Afoniu”, która według słów samego Jemielianowa powstała pod wpływem jakiegoś utworu w gazecie: „Północno-Kaukaski Rolnik”. Charaktery-

styczne, że do wykonywania tego utworu Jemielianow przebra się i charakteryzuje. Opowiadaniu towarzyszy mimika, gesty i odpowiednia intonacja. To typowy „rajek”, którego tradycja sięga korzeniami rozpowszechnionej wśród donskich kozaków ludowej farsy, mającej niezróżnicowany charakter ostrej satyry społecznej. Nie jest przypadkiem, że Jemielianow jest jednocześnie kulekierem, żywołtność „rajka” jest zjawiskiem typowym dla współczesnej wsi. Charakterystyczne, że satyra ta jest zawsze konkretna, skierowana ostrzem przeciwko konkretnym miejscowym ludziom, którzy przeszkadzają w życiu kolchozu.

* Zbierzmy wyniki naszych obser-

wacji: badanie folkloru kolchozów rejonów Nowoannińskiego i Podteliowskiego wykazało ogromny rozkwit ludowej twórczości poetyckiej w ramach rzeczywistości socjalistycznej. Nowy socjalistyczny stosunek do pracy, nowatorstwo, dążenie do przyswojenia zdobyczy nauki w zakresie gospodarstwa wiejskiego, zjawiska tak wyraźnie przejawiające się w przodujących kolektywach kolchoźniczych, tworzą tę atmosferę twórczego porwy, która musiała wywrzeć wpływ na wszystkie strony życia ludu, a w szczególności i na sztukę ludową.

W tworzeniu się folkloru radzieckiego lat powojennych ważne miejsce zajmuje twórczość poetycka okresu Wielkiej Wojny Ojczyźnianej, a przede wszystkim pieśni, która wzbogaciła współczesny folklor kolchoźniczy elementami obrazowymi i ideowymi radzieckiego patriotyzmu.

Ciekawym zagadnieniem jest obecnie sprawa wzajemnego stosunku folkloru i literatury. Dziedzinę tę wiążą się ze sobą coraz ściślej, co wyraża się przede wszystkim we wzrastającej tendencji mas ludowej do twórczości amatorskiej. Proces ten w znacznej mierze uwarunkowany jest wpływem współczesnej literatury pięknej. Przodujące miejsce w kulturze ludowej radzieckiej pieśni masowej dowodzi głębokiego związku z ludem radzieckiej literatury, którą lud przyjmuje jako wyraz swoich myśli i swoich dążeń.

Badanie współczesnego folkloru stawia wyraźnie także sprawę poetyckiego dziedzictwa. Jak wykazała obserwacja, tradycyjny folklor jest obecnie jeszcze zjawiskiem żywym i twórczym. Daje się zauważyć proces twórczego przejmowania tego dziedzictwa przez lud, co wyraża się w dążeniu do utrwalenia i prze-myślenia na nowo tego, co jest w nim najcenniejszego. Na wybór motywów tradycyjnego folkloru wpływa obecnie także ruch amatorski w kolchozach, którego przodownicy, poważnie i wnikliwie podchodzą do zagadnienia repertuaru swoich chorów, wybierając dla nich z bogactwa poetyckiego przeszłości rzeczy najlepsze pod względem ideowym i artystycznym.

Kierownicy miejscowych organizacji partyjnych i państwowych doceniają ogromne społeczne i polityczne znaczenie folkloru. Poświęcają oni wiele uwagi pracy rejonowych domów kultury i działalnoci czytelnia. Zajmują się gorąco repertuarem brygad agitacyjnych i chorów kolchoźniczych.

Także przed radzieckimi etnografami stają odpowiedzialne zadania. Nie mogą oni być tylko obojętnymi obserwatorami życia i sztuki ludowej. Etnograf powinien włączyć się czynnie w walkę o ideowy, pełnowartościowy artystyczny folklor. Najskuteczniejszym środkiem pobudzenia twórczości ludowej jest jak najszersze upowszechnianie najlepszych jego utworów. Zebrane przez ekspedycję materiały winny być przedmiotem nie tylko naukowego badania, ale powinno się je także opracowywać z punktu widzenia ich ewentualnej popularyzacji. Na materiałach tych mogą się oprzeć np. doskonałe muzyczno-literackie słuchowiska radiowe.

Zajęcie się folklorem posiada dziś ogromne znaczenie. Wiele utworów literackich opartych na konkretnym środowisku ludowym staje się także elementem miejscowej tradycji folklorystycznej. To skrzyżowanie nowych i dawnych form może się okazać niestęchanie płodne. Niewątpliwie wniesie ono żywy strumień w zawodową twórczość poetycką poetów uprawiających rodzaj pieśni. Jednym z najważniejszych zadań stojących przed etnografami jest ujawnić i utrzymać ten zdrowy, twórczy związek literatury zawodowej z folklorem.

Badanie monograficzne odkrywa także szerokie możliwości kierownictwa kulturalnego nad wybranymi kolchozami.

Wypełnianie tych zadań uczyni z etnografów prawdziwych działaczy kulturalnych, których potrafią wprowadzić na wieś ogólną kulturę radziecką.

tlum. Anna Kamińska

* Z kwartalnika Akademii Nauk ZSRR: Sowietskaj etnografia nr 3 1949 r.

1) Stacja maszynowo-tractorowa (przyp. tłum.)

2) Rodzaj piosenki ludowej (Przyp. tłum.)

3) Satyryczna przemowa, rodzaj ludowej gawędy (Przyp. tłum.)

KONSTANTY GRZYBOWSKI

DLACZEGO W TEJ KOLEJNOŚCI?

„W jaki sposób przezwyciężyć burżuazję kryzysy? Z jednej strony przez przymusowe niszczenie masy sił produkcyjnych, z drugiej przez zdobywanie nowych rynków i gruntowniejszą eksploatację wszystkich rynków. Przez co więc? Przez to, że przygotowuje ogólniejsze i potężniejsze kryzysy i zmniejsza środki, przy pomocy których można kryzysom przeciwdziałać.”

Do tej analizy gospodarczych przyczyn załamania kapitalizmu, danej w pierwszym dokumencie socjalizmu naukowego, w „Manifestie Komunistycznym” dodał następnie Engels (w uwadze do 2-giej części III-ciego tomu „Kapitału”) spostrzeżenie iż kapitalizm zyskał dla lokaty zbędnych kapitałów „we wszystkich częściach świata nieskończenie większe i różnorodniejsze tereny”, sprecyzował ją zaś Lenin obaleniem teorii o „automatycznym” obumieraniu kapitalizmu (Róża Luxemburg), o „wystarczalności” legalnego politycznego opanowywania aparatu państwowego (rewizjonizm) oraz analizą szczególnych cech kapitalizmu imperialistycznego i monopolistycznego. Na tym tle wydaje się celową próbą analizy obecnego stadium rozwoju.

1. Kapitalizm został po raz pierwszy obalony na terenie b. imperium carskiego. Tu było jego słabe ogniwo. Na przyczynę dlaczego tu właśnie powstanie pierwszego państwa socjalistycznego było możliwe wskazywać niejednokrotnie Lenin. Tu najsilniej może ujawniały się wewnętrzne sprzeczności rozwoju: obok sektora wielokapitalistycznego prawie feudalny ustrój rolny, chłop, który niczego nie zawdzięcza burżuazji; burżuazja bardziej niż gdzieindziej beznasna i bardziej niż gdzieindziej powiązana z absolutyzmem i feudalizmem. Proletariat o świeższych niż gdzieindziej tradycjach rewolucji (roku 1905). Partia bardziej niż gdzieindziej rewolucyjna i bardziej niż gdzieindziej zorganizowana dla celów rewolucji. I — dodać

trzeba — świetniejszy, niż gdziekolwiek indziej przywódca.

W okresie 1921 — 1939 Związek Radziecki udowodnił, że można nie tylko obalić kapitalizm, ale i zbudować socjalizm. W okresie 1941 — 1945 Związek Radziecki udowodnił, że można nie tylko zbudować socjalizm, ale również obronić go przed agresją imperialistyczną, że państwo socjalistyczne potrafi obalić najpotężniejszą potęgę militarną imperializmu. Te fakty stały się jedną z najważniejszych przyczyn, dla których pękły dalsze ogniwa kapitalizmu, dla których ciągle pękają coraz dalsze. Odpowiedź na pytanie, które pękają pozostałe — wydaje się — w związku z odpowiedzią na pytanie, jak wygląda forma eksploatacji kapitalistycznej w poszczególnych krajach i jak, w związku z tym, z tą formą, wygląda świadomość klasowa uciskanych mas ludowych w tych krajach.

Odróżnić możemy cztery typy ekstensywnej, hamującej kryzys gospodarki kapitalistycznej, penetracji kapitalizmu: 1) w krajach już kapitalistycznych, kapitalizm likwiduje trwające na pewnych odcinkach przedkapitalistyczne formy produkcji — ta postać ekspansji należy już prawie w pełni do przeszłości, 2) kapitalizm opanowuje przy pomocy metod imperialistycznych tereny o gospodarce rozwiniętej, ale bądź przedkapitalistycznej, bądź o słabiej rozwiniętym kapitalizmie — i czyni to bądź jawnie i bezpośrednio politycznie (przykładem Indie) bądź z zachowaniem pozorów niepodległości politycznej tych krajów, 3) kapitalizm opanowuje tereny rzadkiego zaludnienia i gospodarki pierwotnej (większa część Afryki), 4) wielkie i zwycięskie kraje kapitalistyczne przechodzą do eksploatacji pokonanych krajów kapitalistycznych (ostatnio Niemcy, Japonia) — to najnowsza forma eksploatacji kapitalistycznej. Do przeszłości prawie zupełnie należy forma, będąca jedną z głównych przyczyn przejściowego zahamowania kryzysu kapitalizmu w drugiej połowie XIX w.: „eksport” własnej potencjonalnej rezerwowej armii pracy, własnych nadwyżek ludnościowych do kolonii osadniczych.

Jeśli spojrzeć na dzisiejszą sytuację, na walkę socjalizmu z kapitalizmem, z tego punktu widzenia, to uderza jedno zjawisko: obalili kapitalizm i weszli, w ślad i za wzorem Związku Radzieckiego, na drogę budowy socjalizmu przede wszystkim kraje grupy drugiej, kraje o rozwiniętej gospodarce, choć nie tak gruntownie przeorganizowanej przez kapitalizm jak czołowe kraje kapitalistyczne, kraje, które do ostatniej wojny bądź zachowały przynajmniej pozory niezawisłości politycznej, bądź nie zostały tak bezwzględnie poddane dyspozycji politycznej państw imperialistycznych jak kolonie w krajach o bardziej prymitywnej strukturze gospodarczej i o wiele mniejszej gęstości zaludnienia.

Te cechy widzimy we wszystkich krajach demokracji ludowej z Chinami włącznie, te cechy widzimy w krajach najaktywniej walczących o wyzwolenie polityczne i gospodarcze od dyktatury kapitalistycznej: Vietnam, Indonezja, arabskie kraje francuskiej Afryki północnej.

Zjawisko pozorne paradoksalne — socjalizm przyjmuje się w krajach o mniej rozwiniętej gospodarce kapitalistycznej, o mniej licznych proletariacie, mających liczniejsze, niż w krajach przodujących kapitalizmu, klasy pośrednie. Ale zjawisko to ma swe uzasadnienie w szczególnych, w tych właśnie krajach występujących, cechach ich proletariatu i ich klas pośrednich. Proletariat tych właśnie krajów nie czerpał żadnych korzyści z ekstensywnych form eksploatacji kapitalistycznej, nie korzystał w żadnym ze swoich odmów z „renty kolonialnej”. Przewodzący kraje kapitalistyczne mogły skromną część zysków z eksploatacji krajów i ludów od siebie zależnych od-

rzucić części własnego proletariatu, mogły tworzyć własną arystokrację robotniczą, o drobno-mieszczańskim trybie życia i pro-kapitalistycznej mentalności. W przodujących krajach kapitalistycznych można było, na tym podłożu, przy pomocy przekupnych przywódców robotniczych, rozbić jedność ruchu robotniczego. Podobnie przedstawia się sytuacja klas pośrednich tych krajów, korzyści gospodarcze, możliwość skierowania własnej nadwyżki inteligencji i drobno-mieszczaństwa do kolonii na dobre posady, młot własnej misji narodowej wobec ludów „zapóźnionych w rozwoju” (najtypowszym przykładem jest popularność zaadaptowanego na potrzeby drobno-mieszczaństwa wieszca imperializmu brytyjskiego Kiplinga) działały w kierunku społecznej akceptacji kapitalizmu w części proletariatu i ogromnej większości drobno-mieszczaństwa, tworząc dogodne dla kapitalizmu mistyfikacje.

Tego wszystkiego nie było w krajach demokracji ludowych środkowo-wschodniej Europy i wschodniej Azji, w mniejszym stopniu, ale także nie ma w krajach arabskich Afryki północnej. Eksploatacja przez obcy kapitalizm była jaskrawa i wyraźna. Nie było warunków dla wytworzenia się liczniejszej „arystokracji robotniczej”. Klasy pośrednie były ofiarami ucisku w sposób wyraźniejszy niż w przodujących krajach imperialistycznej kapitalistycznej. W wielu z nich decydującą rolę mogły odegrać masy chłopskie, które żyły jeszcze pod uciskiem o pozostałościach feudalnych, które nie miały nic do zawdzięczenia burżuazji. I to są — zdaje mi się — te fakty w podbudowie, które z tych właśnie krajów uczyniły „słabe ogniwo” kapitalizmu.

Nadbudowa ideologiczna nad tym stanem faktycznym stało się dokonane przez Lenina „otwarcie nawiasów” w teorii dyktatury proletariatu, w formie dyktatury proletariatu w sojuszu z

klasami uciskanymi a pod kierownictwem proletariatu i jego partii. Główną masę wśród tych sojuszników proletariatu stanowi chłopstwo. Ale to jest nie tylko chłopstwo. W dyskusji z Denisowem (na konferencji prawników w Moskwie 14 — 21 maja 1948) słusznie wytknął mu ten błąd Wyszynski, wskazując, że to jest sojusz z całością mas pracujących, a więc także z pracującą częścią drobno-mieszczaństwa i z inteligencją. Jest to znów nawiązanie do Marks’a, do jego rozróżnienia „własności kapitalistycznej” i „własności osobistej”, jest to prawie to samo, co nasze pojęcie „sektora drobnotowarowego” obejmującego zarówno niewyzyskującego cudzej pracy chłop’a, jak i nie wyzyskującego cudzej pracy rzemieślnika. To jedna strona zagadnienia sojuszników proletariatu na drodze do socjalizmu — nie można zapominać, że drugą stroną jest stałe czuwanie, by sojusznik nie przekształcił się w wyzyskującego cudzą pracę chłop’a czy rzemieślnika, więc w praktyce zagadnienie uspołecznienia sektora drobnotowarowego, by inteligent u miał się oderwać od związków z kulturą burżuazyjną, więc zagadnienie zmiany struktury społecznej i nastawienia naukowego inteligencji.

Związek Radziecki i kraje demokracji ludowej (wraz z Chinami) to blisko 700 milionów ludzi. Trzy zwycięskie w ostatniej wojnie imperialistycznej kraje imperialistyczne (Stany Zjednoczone, Anglia, Francja) to niewiele ponad 200 milionów ludzi. Cały świat — to ponad dwa miliardy ludzi. Jedna trzecia ludności świata jest już wolna od ucisku kapitalistycznego. Dwie trzecie walczą jeszcze o wolność. Klasy rządzące jednej dziesiątej ludności świata usiłują utrzymać możliwość eksploatacji własnych mas pracujących i walczących o wolność dwóch trzecich ludności świata. Taką jest obecna sytuacja.

Utrzymanie możliwości eksplo-

atacji przez klasy posiadające, utrzymanie kapitalizmu, zależy od trzech czynników: od siły i rozwoju Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowych, od siły ruchów rewolucyjnych w krajach imperialistycznych, od dalszych możliwości eksploatacji dwóch trzecich niewyzwolonych z kapitalizmu części ludności świata. Każdy wzrost produkcji, każdy wzrost stopy życiowej mas w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej jest krokiem naprzód ku likwidacji kapitalizmu w całym świecie. Każde wyrwanie nowego kraju spośród krajów eksploatowanych przez kapitalizm jest krokiem naprzód ku socjalizmowi, także i dlatego, że osłabiając eksploatatorów, zmniejsza ich możliwości tworzenia mistyfikacji, osłabiających rewolucyjność klas uciskanych w społeczeństwach krajów imperialistycznych. Ścisła współzależność między wzrostem sił Związku Radzieckiego i demokracji ludowych, wyrwaniem coraz dalszych krajów spod ucisku kapitalistycznego, wzrostem ruchów rewolucyjnych w krajach kapitalistycznych wytycza drogę do socjalizmu.

Jeszcze w r. 1916 pisał Lenin: „Rozwój kapitalizmu odbywa się w różnych krajach w najwyższym stopniu nierównomiernie... Stąd nieodzowny wniosek: socjalizm nie może zwyciężyć równocześnie we wszystkich krajach”. Trzydzieści lat od Wielkiej Rewolucji Listopadowej potwierdziło to zdanie. Starałem się dać próbę uchwycenia prawidłowości w tej nierównomierności, odpowiedzi na pytanie dlaczego w takiej właśnie kolejności dokonuje się zwycięstwo socjalizmu w poszczególnych krajach. Wydaje się, że weszliśmy na tę drogę w nowy etap, tak wyraźnie zaznaczony wykluczeniem Chin z terenu eksploatacji kapitalistycznej, że jak wraz z demokracjami ludowymi skończył się etap obrony socjalizmu a zaczyna etap jego rozwoju na nowych terenach.

Konstanty Grzybowski

KONSTANTY DUMANSKI

BYLIŚMY W BUŁGARII

Przyjąć można jako pewnik, że większość uczestników naszej przeszło 40-osobowej wycieczki chłopskiej do Bułgarii, miała w chwili wyjazdu z Polski bardzo mgliste pojęcie o kraju, do którego jechaliśmy, i o tym wszystkim, cośmy mieli w kraju tym zobaczyć. Niektórzy, jak się zdaje, wyobrażali sobie, że zobaczą tam, w bułgarskich spółdzielniach produkcyjnych, jakieś wspaniałe pałace, szklane domy, huczące tysiącami kombajnów i traktorów urodzajne pola; lecz większość wycieczkowiczów nie wyobrażała sobie nic — i trwała w napięciu oczekiwaniu.

I oto, w ósmym dniu naszej podróży, stajemy na szerokiemi dziedzińcu spółdzielni produkcyjnej Ryżewo — Konary. Dookoła nas — typowy krajobraz środkowej Bułgarii: wypolona słońcem równina, na której dojrzewają w piekielnym upale żółtkie nawpół wyschłe łany kukurydzy i słonecznika; nad głową — rozżarzone, zięjące strasliwym ogniem niebo; na horyzoncie, tonące w gorącej mgłę, z lewa i z prawa, ze wszystkich stron, zarysowują się niebieskawe sylwetki potężnych górskich grzbietów.

Polscy chłopcy, czarni, opaleni, dokładnie wymieszani z mieszkancami wioski, zwartym kołem obstąpili przewodniczącego spółdzielni i z gorączkowym zaciekawieniem słuchają jego wyjaśnień, zasympując go

gradem pytań. Pytania padają szybko jedno po drugim, stawiane są ostro, bez ogródek, po chłopsku. Chłopi chcą wiedzieć dosłownie wszystko, chcą wszystko zrozumieć; interesuje ich każdy najbłahszy szczegół. Niektórzy zdają się uważać: czy nie ma tu jakiego „kantu”? Przewodniczący — barczysty człowiek o mądrych roześmianych oczach i śniadej, energicznej twarzy — cierpliwie odpowiada na pytania, opowiada, szczegółowo wyjaśnia. Tłumacz nasz jest cały spocyny od upału i nadmiernego wysiłku, lecz pomoc jego jest właściwie zbędna; chłopcy jakimś „szóstym zmysłem” chwytają w lot sens każdego zdania i każdej odpowiedzi, nie czekając na jej dosłowne przetłumaczenie.

Dziedzinnic otaczają niskie, długie murowane budynki spółdzielni: stodoły, obory, spichrz. Znany je dobrze z wyglądu — takie same lub podobne widzieliśmy w innych wsiach. Zawijając do spółdzielni produkcyjnej, chłopcy bułgarscy wcale nie liczą na to, że spłynię na nich złoty deszcz obfitych darów ze strony państwa. Wiedzą oni, że państwo da im to wszystko, czego sami oni własnymi siłami zdobyć nie potrafią: da im maszyny, bydlę zarodowe, przydział na stałe fachowego agronoma; lecz reszta musi być zrobiona przez nich samych. Każda nowo-

powstała spółdzielnia zaczyna od uruchomienia własnej polowej cegielni. Przybyszowi z daleka rzuciła się w oczy obszerny plac, gdzieś na skraju wsi, na którym uwiązają się ludzkie dookoła pieców i piettzą się czerwone stopy cegieł i dachówek. Wiesz bułgarska właściwie nie miała obszarników w naszym tego słowa znaczeniu: nie posiada ona ani byłych zabudowań dworskich, ani w ogóle naszych resztówek — wielkie budynki gospodarcze wznoszone są własnoręcznie od samych podstaw przez członków spółdzielni produkcyjnej.

Przewodniczący spółdzielni w prostych słowach opowiada nam zwężkę, krótką, lecz jakże dla nas ciekawą historię spółdzielni produkcyjnej Ryżewo — Konary.

Spółdzielnia powstała w początku 1945 roku; inicjatorami było kilkunastu bardziej uświadomionych gospodarzy — matorolnych i średniaków. Obecnie do spółdzielni należy 937 rodzin, które wniosły jako swój wkład 2.800 ha ziemi uprawnej; poza spółdzielnią pozostałe zaledwie 40 rodzin, które razem wzięte posiadają 200 ha ziemi. Początkowo trzeba było przewidywać wielkie opory: zbierać ludzi, rozmawiać z nimi, tłumaczyć. Ten najcięższy okres organizacyjny spółdzielnia ma już za sobą. A trudności te były tak wielkie, że pewnego razu członkowie spółdzielni zwrócili się z listem do tow. Dimitrow, prosząc go o radę. Dimitrow odpisał im, udzielając szczegółowych odpowiedzi na pytania i kończąc list swój takim zdaniem: „sprawa ta jest trudna, lecz chwalebna — trzymajcie się mocno, gdyż ta tylko droga dojdzie do celu”. Zdanie to stało się niejakim hasłem spółdzielni: wypisane ono zostało na wielkiej tablicy, umieszczonej przy bramie wjazdowej; czyta to zdanie każdy chłop idący drogą.

Podobna do wsi Ryżewo jest historia wszystkich 1.600 spółdzielni produkcyjnych, jakie powstały dotychczas w małej Bułgarii, obejmując 150.000 gospodarstw chłopskich i ponad 500.000 ha zbiorowo uprawianej ziemi.

Bułgaria to kraj, w którym grunty uprawne zajmują niespełna 40% całej jego powierzchni; reszta — to są skalne werty, góry i inne nieużytki. Kraj, okresowo nawiedzany przez okropne susze. Zageszczenie

ludności rolniczej jest tu największe w całej Europie; ziemia liczona jest na dekary (dekar — 1/10 części hektara); gospodarstwa powyżej 10 ha stanowią tylko 8% ogólnej liczby wszystkich gospodarstw, natomiast 67% tej liczby — to gospodarstwa poniżej 5 ha. Do niedawna jeszcze istniał na wsi bułgarskiej nadmiar zbędnych rąk roboczych w liczbie 2.000.000!

Ziemia tu jest rozdrobniona w sposób, nigdzie chyba poza Bułgarią nie spotykany: przeciętne gospodarstwo chłopskie składa się z 12 — 16 działek, tworzących niesłychanie skomplikowaną i uciążliwą szachownicę; już ta okoliczność wykluczała z góry możliwość nowoczesnej gospodarki rolnej i stosowania większych maszyn. Była to do niedawna kraj o bardzo niskich plonach zbóż, o najniższym w świecie (poza Indiami!) dochodzie na głowę ludności rolniczej.

Bułgaria cierpi na ostry brak państwisk — a tymczasem uprawa twardej, przesuszonej gleby zmusza tu chłopa do utrzymywania pary koni lub wołów roboczych; nie pozostaje mu w jego gospodarstwie paszy dla bydła mlecznego i owiec, konie zaś i woły zjadają większość jego dochodu; na wsi panuje nadmiar bydła pociągowego, z wyraźną szkodą dla hodowli bydła mlecznego. Zaledwie połowa wszystkich gospodarstw chłopskich posiadała plugi, nie mówiąc już o bardziej skomplikowanych narzędziach i maszynach rolniczych; reszta rolników zdana była pod tym względem całkowicie na „łaskę” sąsiadów.

Takie stosunki panowały do niedawna w całym kraju, to samo było i we wsi Ryżewo-Konary. Lecz i w tej wiosce, tak jak i wszędzie, znaleźli się ludzie, którzy wyraźnie widzieli jedną i niezawodną drogę prowadzącą z tego ponurego piekła do nowego, lepszego życia: była to droga kolektywnej, planowej gospodarki na wielkich blokach, powstałych z połączenia indywidualnych gospodarstw chłopskich. Jest rzeczą niezmiernie ciekawą, że chłopcy bułgarscy tworzyli zaczęli pierwsze spółdzielnie produkcyjne jeszcze w okresie rządów faszystowskich. Spółdzielnie te prześladowane były i szikanowane przez ówczesne władze, musiały się one rozwiązywać, lecz i teraz jeszcze taka np. spółdzielnia



Budowa zapory wodnej

produkcyjna „Al. Stambolijski” w okolicach Warny jest szuszną dumą podaje rok 1941 jako rok swego założenia.

W tych warunkach jasnym się stawało dla każdego chłopca, że warunkiem lepszego jutra dla niego i dla jego rodziny, dla całej wsi bułgarskiej, jest obalenie znieprawdzonego monarchistycznego — faszystowskiego ustroju. Walka z tym ustrojem, w której tak czynny udział obok robotnika wziął chłop bułgarski, w której padło tylu najlepszych synów bułgarskiej wsi — była między innymi walką bułgarskiego biednego i średniego chłopca o prawo do tworzenia nowych form życia gospodarczego i społecznego na wsi, walką o spółdzielczość produkcyjną.

Cóż to za ludzie byli pionierami tego wielkiego ruchu? Poznałszy ich sporo podczas naszego krótkie-

go pobytu na gościnnej ziemi bułgarskiej. Takim człowiekiem był obecny przewodniczący spółdzielni produkcyjnej „Marica”: brat jego zginął jako partyzant w walce z Niemcami, jego popiersie zdobi plac wiejski, jego imię nosi kierowna przez jego brata spółdzielnia. Takim człowiekiem był Aleksander Atanasow, młody bohater — partyzant, pochodzący ze wsi Krumowo, którego imieniem nazwana została spółdzielnia produkcyjna w Krumowie; pamięć jego otoczona jest powszechną czcią, w środku wioski wzniesiony został jego pomnik, wszędzie w całej wsi wiszą jego portrety. Do takich ludzi należy i nasz obecny gospodarz, przewodniczący spółdzielni Ryżewo-Konary, członek BKP, poseł na sejm Ludowej Republiki Bułgarskiej.

(dalszy ciąg na str. 4)



Byliśmy w Bułgarii

(Dokończenie ze str. 3)

Ludzie ci nie byli osamotnieni w swej pracy. Pewnego razu, zboczyliśmy z drogi, by zobaczyć położoną w pobliżu szosy wieś Brezowo i porozmawiać z jej mieszkańcami. Wieś ta składa się z 850 gospodarstw; z grona mieszkańców tej wsi — 20 osób siedziało w więzieniu za przekonania polityczne, około 200 przeszło przez faszystowski obóz koncentracyjny, około 500 doznało innych prześladowań. Zwiedziliśmy później wieś Krumowo: organizacja BKP w tej wsi liczy 107 osób, stronnictwo chłopskie — 18, Front Ojczyźniany — 160, OZPS (odpowiednik naszego ZSCh) — 300 członków. To jest ten szeroki aktywny wiejski, który walczył przeciwko faszystom, a po odniesionym w tej walce zwycięstwie budował spółdzielnie produkcyjne, zakładając ich mocne podstawy.

Jak powstała spółdzielnia produkcyjna we wsi Ryżewo - Konary?

Odbyło się to w sposób napozór bardzo prosty: po odpowiednim przygotowaniu zebrali się mieszkańcy wsi i uchwalili statut spółdzielni. W myśl tego statutu, każdy członek spółdzielni wnoszący swój wkład posiadanej ziemi — uprawną, mniejsze maszyny rolnicze, woły i konie; ziemia pozostaje nadal jego własnością, inwentarz przechodzi odpłatnie na własność spółdzielni. Większe maszyny rolnicze wykupowane są od członków spółdzielni przez Państwo i przekazywane maszynowo - traktorowym stacjom, które zawierają ze spółdzielni specjalne umowy o wykonanie tych lub innych prac na terenie spółdzielni. Członek spółdzielni ma obowiązek odpracowania pewnego minimum dniówek obojętnych (pracowników): dla mężczyzn to minimum wynosi zwykle około 150 — 180 pracowniówek, dla kobiet — od 100 do 120. Czysty dochód spółdzielni dzielony jest w następujący sposób: 10% stanowi fundusz rezerwowi, ok. 30% rozdziela się między członków spółdzielni według ilości włożonej przez nich ziemi, zaś pozostałe 60%, rozdzielane są według wkładu ich pracy. Członek spółdzielni zachowuje w indywidualnym użytkowaniu działkę sadybowa o powierzchni nie większej niż 0,5 ha. Wstąpienie do spółdzielni jest dobrowolne, każdy członek ma prawo wystąpić ze spółdzielni w każdej chwili — po 3-4 latach od dnia jej założenia. Po zarejestrowaniu statutu przez Sad — spółdzielnia zaczęła istnieć formalnie.

Przewodniczący dał ręką znak — i wszyscy ruszyliśmy z dziedzińca, wzdłuż schodów budynków spółdzielczych i huczących warsztatów, na skapane w osłepiającym blasku słonecznym pola. Zatrzymaliśmy się tuż za ostatnim budynkiem: z ziemi biło źródło, mała tama piętrzyła wodę, która rozlewała się szeroko po polach wypełniając się gęsto wykopanych rowów. Przewodniczący z dumą wskazał nam na ten system irygacyjny. Czy rzecz taka możliwa była do przeprowadzenia w warunkach indywidualnego gospodarowania, na niesłychanie zawilej mozaice drobnych działek, czy możliwa była na tych drobnych działkach głęboka orka jesienna, uskuteczniata z pomocą traktorów, a stanowiąca jeden z warunków utrzymania właściwych stosunków wilgotnościowych w glebie, czy możliwe były powszechne siewy rzędowe, stosowane obecnie przez 75% wszystkich spółdzielni produkcyjnych, trawopólne płodozmiany, prawidłowe zmienianie kultury, zapewniające należyte wykorzystanie wilgoci oraz walkę z chwastami i szkodnikami?

I oto — jako wynik tych wszystkich zabiegów agrotechnicznych: tegoroczne plony z 1 ha zebrane w spółdzielni Ryżewo - Konary, w warunkach katastrofalnej suszy, są o 50% — 100% wyższe, aniżeli w gospodarstwach indywidualnych, położonych w bezpośrednim sąsiedztwie ze spółdzielnią; różnica ta wynosi dla całego kraju przeciętnie 25% — 30% na korzyść gospodarki zespołowej. Bogactwo spółdzielni rośnie; posiada ona obecnie 220 koni, 220 wołów roboczych, 30 świń, 10 krów mlecznych i 1.500 owiec; poza tym, członkowie jej trzymają dla własnego użytku po 1 krowie oraz po kilka owiec i świń. Spółdzielnia prowadzi warsztaty — kowalski, kołodziejski, rymarski, sto-

larski, meblarski i krawiecki. Kapitały własne i udziałowe wynoszą 90 mil. lewów, wartość majątku spółdzielczego szacowana jest na 66 mil. lew.

Kierunek gospodarki jest warzywno - zbożowy. Spółdzielnia wysiewa kukurydzą na 280 ha, żyto na 300 ha, pszenicę na 700 ha, jęczmień na 200 ha, słonecznik na 300 ha, ryż na 100 ha, lucernę na 100 ha, pomidory na 80 ha, paprykę na 18 ha, kawony, melony i arbuzy na 110 ha, kartofle na 40 ha, — oraz prowadzi sad owocowy na obszarze 60 hektarów.

Dobrobyt członków spółdzielni wzrasta również w szybkim tempie. Przewodniczący wyjmując kartkę papieru i uroczysto, głośno odczytuje: dochód na 1 pracowniówkę w spółdzielni Ryżewo - Konary wynosił — w r. 1945 — 345 lew., w r. 1946 — 255 lew., w r. 1947 — 375 lew., w r. 1948 — 420 lew.

To samo dzieje się z częścią dochodu, dzieloną stosownie do wkładu ziemi; dochód ten (liczony na 1 ha ziemi) wynosił dla spółdzielni Ryżewo - Konary w r. 1945 — 10.000 lew., a w r. 1948 — 22.000 lew.

Spółdzielnia troszczy się o swoich członków. Przysługują im prawo do bezpłatnego leczenia na koszt spółdzielni; członkowie którzy przekroczyli 55 rok życia otrzymują stałą rentę, nawet w wypadku jeśli czując się na siłach pracują dalej i wyrabiają pracowniówki. Wieś Ryżewo - Konary jest zelektryfikowana, posiada ponad 500 głośników i własny radiowęzeł, który nadaje komunikaty dla członków spółdzielni; wieś ma piękną szkołę i świetlicę.

Sluchamy tych cyfr — i coraz lepiej zaczynamy rozumieć ten powszechny pęd do zakładania spółdzielni produkcyjnych, jaki ogarnął z żywiołową siłą całą wieś bułgarską, zmuszając rząd do wprowadzenia ograniczeń w tym kierunku, celem nadania całej akcji charakteru bardziej planowego i bardziej dostosowanego do możliwości realnej pomocy ze strony Państwa. Chłop bułgarski wcale nie jest ławowierny: stara się on zbadać jak najdokładniej gospodarkę spółdzielczą, zanim zdecyduje się wstąpić do spółdzielni. Przodującą spółdzielnię produkcyjną „Marica” odwiedziło w ciągu roku około 700 delegacji chłopskich z różnych wsi. Zalety zespołowej gospodarki na roli są tak oczywiste, tak biją w oczy każdego, najbardziej nawet uprzedzonego obserwatora, — że liczba spółdzielni produkcyjnych rośnie w Bułgarii z każdym niemal dniem. W takim okręgu Russe nie ma ani jednej wsi, gdzieby nie istniała spółdzielnia produkcyjna: spółdzielnie te obejmują w tym okręgu ponad 20% wszystkich gospodarstw. Państwowy plan 5-letni przewiduje na rok 1953 objęcie gospodarką spółdzielczą ok. 60% chłopskich gospodarstw w całym kraju; produkcja ich stanowić powinna 72% ogólnej produkcji rolnej.

Ziemia bułgarska piękna jest i malownicza; krajobraz bułgarski ma dziwny, swoisty urok, a niektóre jego fragmenty pełne są nieprawdopodobnej wspaniałości i grozy. Głuche w chmurach ośnieżone szczyty; uchodzące w zawrotną wysokość, nagie i strome kamienne ściany, których gdzieśgdzie kurczowo chwytają się karłowate, kolczaste krzewy; rozległe równiny, gdzie rośnie bawełna, ryż i trzcina cukrowa; szmaragdowo - zielone morze, bijące spienionymi, huczącymi falami o strome, białe urwiska skalne. Piękne są bułgarskie miasta — jak np. jedynie w swoim rodzaju Tyrnowo, podobne do zlepku tysięcy jaskółczych gniazd, zawieszonych nad przepaścią, nad rwącą mętno - żółtą Jantra.

Lecz najciekawszy i najpiękniejszy ze wszystkich cośmy widzieli — jest nowy człowiek bułgarski, wolny obywatel Ludowej Republiki. Tego człowieka widzieliśmy w ogniu wyjątkowej pracy; podziwialiśmy jego entuzjazm i zapał, jego wytrwałość, jego ogromny wysiłek.

Widzieliśmy pierwsze wyniki ich pracy. Było to widowisko wspaniałe i ciekawsze od wszelkich domów szklanych i wymaginowanych pałaców. I bardziej pouczające.

I chłopi nasi — uczestnicy wycieczki do Bułgarii — to zrozumie-

li. **Konstanty Dumański**

ANDRZEJ BRAUN

LENINO*)

I Wojna

Ziemio spełnionych nadziei! Na ciebie zwrócone oczy proletariatu świata — swobodna ziemia radziecka, gdzie chaty i bloki spalone płomieniem gniewu nie gasną. Noc posoką pożaru broczy — Zgrzytliwa mowa niemiecka: „Die bolschewisten... greifen... was?...“

A tutaj srebrny piasek, cieni atrament, za mgły welonem dzwonią liście blaszanych brzoź. Księżyc sierp czerwony w nieba rubaszce. Nim gwiazda kremłowska wychynie gwiazdą rozprysnie się mózg w rozstrzelanego czaszce. —

W nocie sino-niebieskiej, w ceglastej poświęcie wojny kołchoznica-matula przed pręg popatrzy chaty, twarz zbrudzoną użali, gdzie syn jej, komсомолец... Jeszcze nie słysząc pieśni rosyjskich katusz. Tak trudno konać, gdy młodzik nie wyżył do cna lat tych — „Iwan Matruchin... pojman... — już go nie ujrzyś, matuś — „z bronią w ręku... poległ...“

Nad rzekami Rosji jesienny tuman mgły. Pasami dymów związana ziemia i błękit. Czarne skrzydła wron trupich, niby ściągnięte brwi. Rankiem brodac partyzanta przed psów obławą uciekł. Do igłowa ucho przykładaj, czeka... Kłękni — — — Ciało się chwieje na drucie powieszzonego człowieka.

Od Stalingradu daleko i od kamiennej Moskwy — okno złoci się dumnie wysoko. Nie śpi Stalin. — — — Cuchnie bagnami szynela rękaw mokry, gdy krwi ocierasz strumień „za mir i za socjalizm...“

Czarne domów kikuty. Wśród sosen płyną działony i pieśni strzępy w uszach. — — — Ziarna łusek owijające zbrudzone wśród słomy: „Wychadzi-ła na biereg Kati-u-usza...“

II Przed bitwą

Spokojnym trudno pozostać — zdradzi się skurczem krtań, mówię o pierwszym wojsku w polu z wrogiem spotkaniu.

Dzień był jesienny. Lazurowe słońce, brzoza przebite. Thumaczyl słowa rozkazu oświatowy oficer, — — —

Na chłopskich twarzach powaga, w oddziałach niby święto — — — w żebra coś gniewnie nagan i kohnierz zbyt ciasno zapięty.

Na wygniezionej słonie żołnierze gwarzyli z cicha, dziewczęta nuciły sobie, dziewczęta w żołnierskich drelichach.

Jedna klaskała, a ruch jej słomy nie strząsał nawet. Dymity polowe kuchnie, rozdziały ciepłą strawę.

Piechurzy stawiali broń w kołży fasując żur i suchary. Studebakery wiozły z mokradła zapach malarii.

Wieczór błyszczał w żenicach jak w wrazech rzeczki Mierei i pęczniał w ładownicach ostrzy ładunek nadziei.

Pisano trójkątne listy, że drogę wyrabia do domu, a jesień złotymi liśćmi osypywała ich kłonu.

I koniom wiązano ogony przy działkach przeciwpancernych. W gazetach tlił się wonny samosiej ruskich ściernisk.

Konie gryzły się z kwikiem w srebrze brzożowych koryt. Jak serca — zagajnikiem tłuką saperkie topory... — — —

Na wygniezionej słonie żołnierze gwarzyli z cicha, dziewczęta nuciły sobie, dziewczęta w żołnierskich drelichach.

A jedna nuciła niskim głosikiem o Jasku: maszeruj... Bo lśnity oliwą dyski w kompanii fizylierów.

Krasnoarmiejcy w palatkach szli i patrzyli wesele. Kusila ich zagadka drobnej, nucącej Anieli.

Daleko kamienna Moskwa a Wisła jeszcze dalej — — — lecz droga jedna i prosta i sprawa prosta jak palec

Wiec tylko sosny szumiące jak tante sosny w Polsce, więc zgby ściśnięte pod wąsem i psiej tęsknoty kolce — — —

Czarny spadachron nocą ciągnące eskadry zrzucił. Przydepch papieros. Mocniej! bagnetem odetchnąć daj płucem.

III Atak pierwszego batalionu

Są sprawy, których nie można przerwać jak kartki w spokoju. Prosta i mocna oto chwila przed rozpoczęciem boju.

Ziemie popiół zda się bezludny i tylko serce łomocze — — — Oto chwila, kiedy najtrudniej mówić spokojnym głosem.

Nazbyt długo czekali na to w Hiszpanii, w wrześniowej tulaczce. Nic to — byli żelazną klasą, która powstaje, by natrzeć.

To ci, co świata karmili brzuchami i grzbiot okrywali kanionami. Długo świadomość budowali głuchą. Lecz wstaje pierwszy batalion — — —

To ci, co w wiezieniach budowali dzieje, prawdziwe dzieje świata — na ziemi swobodnej unukowie Okrzei na front faszystów przypuszczali atak. — — —

Polska, wiadomo, to wielka rzecz wczek nie chamów była ojczyzną. — Czerwienią się gład na fabrycznych przedmieściach pod czarną łuną faszystów.

Perz pańskie morgi porastał — A chłop się mnożył ja' króliki. Wędrowali z głodu pieszcząc do miasta w szynk bezrobotnych ulic.

Człek umierał jak pies nie chce, paliki policji znając gdy rozbija strajkowe wiece w pieśni pierwszego maja.

Uchodząc niewoli, w ciepłe socjalizmu więzień Berezę grzał tulaczce kości, ściskając świadomość jak w własnej ojczyźnie rozpalili zwycięskie lata radości.

To ci, których ręka szorstka, odjęta ojczystym plugom w hutach Magnitogorska żar wylewała strugą.

Ich karki dźwięgały w śniegu cedrów kolumny i jodeł gdy słońce Syberii jak piechur krwią zamarzalo nad lodem.

Wiatr zaaltajski ich czoła brazy pątną pobruździł gdy trzeba było podotać wraz z radzieckimi ludźmi

I tylko olchy i brzozy i biała amurska wiosna widziały żal narosły co garbił twardą postać.

Nie jeden łamał nieuczoną głowę, wspominając teraz łzę pięścią osuszył, że tutaj w wolnej światła połowie znalazł ojczyznę proletariatu.

Lecz choć tu, w stepach bucharskich, zapomnieć mogłeś co ucisk — tej ziemi, gdzie tyle krzywdy doznawał, gdzie białe piaski — nawet w myślach nie rzucisz nigdy.

Kipiały piece czerwona larą Uralu swobodnej stali. I rzeba — ptugi przetopić na bagnety, piśść cisnąć roboczą w najcięższą w batalię

Krwawym grzebieniem plonie wieś Lenino. Tu front przerwiemy Za rzeką — Potuchy. W brunatnej Mierei rdzawe liście płyną, a głębiej ode dna chmur bure kożuchy. —

Słońce przepłukało gardziele armat, radzieckie zagłębia plunęły stalą — Teraz chwila ziemię otwarta i wstaje do szturmu pierwszy batalion

Brali okopy szturmem na zasiek — krew robotniczą szczodra, nie skąpa. — No jak tam chłopcy da się? — Ano da się... faszystów zadusić drogę wyrębać!

Bagnista łączka. Bieg. Szurm na wzgórze. — I czołgów ruję na kartoflisku — Na trzeciej linii niemieckiej umrę, socjalizm bliżej i Polska blisko...

Cekaem tykał taśm promienie... Kłusa — — — dwa razy dyszący wpadali do wioski. — Padł z krwawą gwiazdą komunę Mieczysław Kalinowski — — —

Biegną łańcuchem, przesadzając rowy palną swym: „urrra-a-a-a!“, aż ziemia się gili nie ścisła pistolet major Lachowicz, we krwi dymiącej stania się Hübner.

Ty myślisz, że to legenda — tak się Październik zaczynał. Tutaj się Polska Ludowa wyległa pod wioską imienia Lenina.

Bo uczył tych bez ojczyzny i Lenin i stary Marks jak do klasowej bitwy prostować zgięty kark.

Oświecił im drogę kuźnieckie piece rewolucyjną łuną. Władzę ludowi niosąc bagnetem, pierwszy batalion runął — — —

Lud nie w ognie lec a cugli zdarzeń — O, tego już nie zmiażdży bezwładny bryła. Oni potężniej umieli marzyć, bo w tym jest klasy wchodzącej siła

Śniły się im budowy słoneczne, jak huk tęczy, przedszkoli tynek różowy, gdzie śmiech dziecinny dźwięczy.

Śniły się im szpitale śnieżne w parkach zieleni i robotnicze, białe osiedla nowych dzielnic.

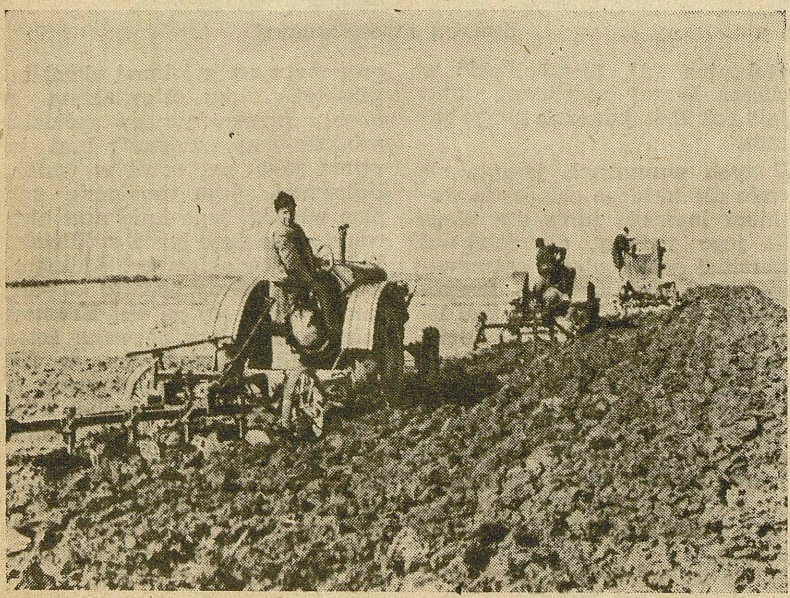
Aule uniwersytetów, teatrów sny i czary, ogromne hale w wieczór kipiące od sztandarów.

Wielkość nauki, siła mózgów i wspólnej ręki. Zbiorowe ludzkie, dzieła i życie ludzi piękne.

Jasne, śniły się lata, które czekają na nich — — — Lecz przedtem jeszcze — atak drogę dla snów — granatami. — — —

Tak było — Nieśli tę Polskę Ludową jak lok ukołchanej dziewczyny w plecaku, tak było — oczy modliły się do niej, a twarz każda płonęła jak plakat.

*) Poemat wyróżniony na Konkursie Domu Wojska Polskiego, ukazał się wkrótce łącznie z poematami K. Gruszczyńskiego i T. Urygacza, nakładem Wyd. Prasy Wojskowej.



TADEUSZ ORLEWICZ

GOSTOMIA^{*)}

Gostomia oddalona jest od Nowego Miasta o 4 km.

Tuż za wsią dawniejsze czworaki dworskie, a dziś mieszkania dla tych dawnych bezrolnych, którym rząd robotniczo-chłopski dał ziemię. Obok wspaniałego niegdyś parku, obszerny dwór, zabudowania folwarczne, gorzelnia, stawy, stawy, stawy... Jest tych stawów kilkanaście i łączna ich powierzchnia liczona jest w dziesiątki hektarów. Należą one wraz z ziemią z resztówki do ośrodka, administrowanego przez P. G. R.

Kiedy w wolnej chwili poszedłem przez pola i groble dookoła wsi i ośrodka, wróciłem z nieodpartym przekonaniem, że to wszystko: i zagrody wiejskie i pola chłopskie i pastwiska gromadzkie i pole ośrodka i stawy rybne i młyn i gorzelnia — stanowią z natury konkretną całość gospodarczą, tak bowiem to wygląda z ukształtowania terenowego. W praktyce dnia dzisiejszego jest oczywiście inaczej, bo ten zespół czynników produkcji rozbija się w gromadzie na kilkadziesiąt odrębnych gospodarstw członów z przewagą gospodarstw o 3 ha ziemi ornej, w resztówce zaś kieruje pracą trzydziestoparohektarowe gospodarstwa a „inistrators” z 3 urzędnikami, w młynie jest inny kierownik, w gorzelnii — inny, a opiekę nad stawami rybnymi sprawuje znowu kto inny.

Bardzo dawno i bardzo niedawno

Napewno ciekawy badacz znalazłby dużo interesujących dla historii Mazowsza a Gostomi w szczególności materiałów, gdyby pogrzebał trochę w ziemi. Jak twierdzi gostomiacy, tu w okresie wojen szwedzkich musieli być ostra potyczka, skoro nierzadko odkopuje się mnóstwo kości ludzkich, a i jakas część trwałszu uzbrojenia czy ubioru odnaleźć ponoć nie jest trudno.

Ciekawsze niewątpliwie są opowiadania, na podstawie których można przypuszczać, że w zamierzchłych czasach w tym miejscu żyli ludzie w zorganizowanej gromadzie. Tym którzy tym interesują się, wystarczy powieścić, że dużo już gospodarzy wykopalili duży urn przebalnych, a niektorzy wykopalili nawet bransolety, przez czas i ziemię bardzo zniszczone. Być może, że nad brzegami dawnego koryta Pilicy, która dziś od zagród gostomskich przebiega o kilkaset zaledwie metrów, była osada prasłowiańska, siedząca u brodu wśród wielkich ówczesnych kniei. Być może, że właśnie stosunkowo wyżej położony teren dzisiejszej Gostomi sprzyjał pra-Mazurów w bezpiecznym od powodzi rozlokowaniu swych domostw.

Kobiety wiejskie opowiadają, że są jeszcze w parku dworskim lochy, w które wrzucano skutymy łańcuchami opornych chłopów pańszczyźnianych na głodowe męczarnie. Takie i inne opowiadania gostomskie mnożyć można w nieskończoność. Ale mnie interesowało oczywiście co innego, a mianowicie sprawa, w jaki sposób powstała dzisiejsza gromada Gostomia, jak rosła i żyła, jakimi drogami doszła do dnia dzisiejszego. Nie było czasu na wertowanie dokumentów, więc pokusiłem się o odtworzenie kilku faktów na podstawie pamięci starszych a świetlejszych gospodarzy.

Tak więc za czasów pańszczyzny chłopci obowiązywani byli pracować dla panów gostomskich, tak jak to się działo i w innych rejonach Polski, sześć albo trzy dni w tygodniu. Ten kto miał konia, miał obowiązek trzy dni koniem pracować, a trzy dni pieszo. Tak też zwano ich albo sześciodniakami, albo trzydniakami.

Kiedy przyszedł ukaz o wywłaszczeniu, spreprowany przez carat w wyniku znanych z historii przesłanek, gostomscy chłopci pańszczyźniancy otrzymali ziemię. Powstało wówczas 27 samodzielnych gospodarstw. 11 rodzin chłopskich otrzymało po 16 morgów ziemi ornej, ponieważ byli sześciodniakami. 12 trzydniaków otrzymało po 8 morgów ziemi. Nadto ziemię otrzymało 4 t. zw. ogrodników, a więc wysłużonych parobków folwarcznych. Dwóch z nich dostało po 4 morgi, dwóch zaś po 3 morgi. Każdy z tych nowokreślonych gospodarzy poza ziemią orną otrzymał ponadto po 4 morgi lasu i po 1 i pół do 3 morgi łąki właśnie nad Pilicą, na miejscu dawnego jej koryta. W sumie chłopci dostali 286 morgów ziemi ornej, 100 morgów lasu i około 100 morgów łąki, ale z tymi łąkami to pan gostomski nie omieszkał chłopów oszukać, podsuwając im ceber gorzali, odcinając im za to znaczny szmat przydzielonych pastwisk.

Zamiast 27 gospodarzy, którzy w sześćdziesiątych latach ubiegłego wieku objęli grunty, liczba zagród w Gostomi w pięćdziesiąt lat po tym już zwiększyła się przeszło dwukrotnie, dalej stopniowo przybywały nowe, ziemi której przybyło niewiele ponad 25 ha do roku 1939, czyli w okresie 75 lat ilość zagród wzrosła o około 300 procent, natomiast przyróbek w ziemi wyniósł — 15 procent.

Kiedy lud w roku 1945 ujął władzę w swoje ręce, majątek panów gostomskich rozparcelowano pomiędzy bezrolnych i małorolnych pozostawiając jedynie kilkadziesiąt hektarów ośrodek z zabudowaniami i dużym gospodarstwem rybnym w rękach Państwa.

Mieszkańcy wsi Gostomia dostali z parcelacji łącznie około 60 ha ziemi, która nadano w 43 działkach przy czym wielkość działki wahała się od 1 do 1 1/2 hektara, a tylko w nielicznych paru zaledwie przypadkach przydzielona działka liczyła 2 1/2 — 3 ha. Resztę przeznaczoną do parcelacji ziemi otrzymała była służba

folwarczna. Ziemię otrzymali 31 rodziny bezrolne przeciętnie po 4,4 ha, włączając w to pastwiska i łąki, a więc razem 135 ha. Wiejskie pola Gostomi powiększyły się zatem dzięki reformie blisko o 200 ha, a gromadzie gostomskiej przybyło wielu nowych gospodarstw indywidualnych z licznymi rodzinami. Ci ludzie poczęli powoli wraść w życie gromadzkie i rok za rokiem przegrody i uprzedzenia pękają i niwelują się.

Po drodze w zdrobnienia

Pozwólcie, że dla wyjaśnienia procesu rozdrabniania się gospodarstw i rozszerzania wsi, stworzę na chwilę teoretyczny podział na dawne Gostomie, a Gostomie obecną z dawnymi bezrolnymi, służącymi w rozparcelowanych dobrach oszarnicz. Okazuje się w ciągu ostatnich 85 lat liczba gospodarstw w tej Gostomi wzrosła z 27 do 105, a więc czterokrotnie, ilość ziemi zaś powiększyła się ze 160 ha do 298 ha, a więc zaledwie jakieś 75%. Gdy więc w roku 1864 przeciętne gospodarstwo liczyło bez łąk i pastwisk około 6 ha, dziś zaś przeciętna wynosi 2,8 ha mimo dokupywania ziemi zwłaszcza w okresie międzywojennym i mimo potężnego zastrzyku w postaci ziemi, przydzielonej z reformy rolnej.

Do tego obliczenia trzeba wprowadzić jednak kilka drobnych poprawek. Informacje jakie zdołałem uzyskać, opierają się na wykazie założeń za t. zw. fundusz podwodowy, a więc rzecz dotyczy tytułu własności na ziemi a nie gospodarstwa indywidualnego w sensie ekonomicznym, stąd też dla ścisłości pierwsza poprawka winna wyjaśnić, że na te teoretyczne wyodrębnione przeze mnie części Gostomi składa się 105 tytułów własności. Z tabeli, którą skonstruowałem dla orientacji, wynika bowiem, że np. 9 „gospodarstw” liczy poniżej 1 ha ziemi, a więc takie działki jak: 70 arów, 56 a nawet 19 czy 6 arów.

Druga poprawka dotyczy łąk. Jak pamiętamy obszarnik gostomski musiał przydzielić nowym gospodarzom 56 ha łąk a i tu jak zwykle bywało w stosunkach obszarniczo-chłopskich, nie obywało się bez oszukiwania gromady przez pana. W miarę przybywania zagród i skupiania zabudowań na skarpie nad Pilicą gromada wyłączała część łąk pod t. zw. „ogrody”, a więc małe działki, przeznaczone na warzywa. Te „ogrody” wyłączono ze wspólnej gromadzkiej własności i włączono je w stan posiadania gospodarstw indywidualnych. Z tego tytułu dziś wspólne pastwisko gromadzkie liczy już tylko 30 ha. Ale tradycja wspólnoty trwa i to nie tylko w fackie wspólnego pasania bydła gromadzkiego, ale w tym, że główne zbieranie t. zw. „ogrodach” i siano kosy na łąkach odbywają się jednocześnie w umówionym z góry terminie na wszystkich działkach.

Tymi poprawkami celowo poprzedziłem tabelę, z której będzie można zorientować się na podstawie porównania stanu z roku 1865 i z roku 1949 jak przebiega rozdrabnianie gospodarstw, jaki typ co do

warczą. Oczywiście obraz układu stosunków własnościowych ulegnie wówczas zasadniczej zmianie. Ta grupa 31 gospodarzy reprezentuje następujący stan posiadania, włączając łąki i pastwiska.

Powierzchnia	Gospod.		Powierzchn.	
	ilość	w % ogólnej ilości	w ha	w % ogólnej powierzchni
do 1 ha	—	—	—	—
do 2 ha	—	—	—	—
do 3 ha	1	3	2,8	2
do 4 ha	1	3	3,0	2,2
do 5 ha	22	73	91,5	67,8
do 6 ha	6	18	31,5	24,0
pow. 6 ha	1	3	6,0	4,6
Razem	31	100	134,8	100

Stworzono więc w zasadzie typ gospodarstw o wielkości od 5 do 6 ha. Teraz przez zwykłe sumowanie otrzymujemy faktyczny i prawny obraz posiadania gruntów w Gostomi. Oczywiście chodzi mi o charakterystykę ogólną samego zjawiska, stąd też proszę moich gostomskich przyjaciół i czytelników „Wiś” o wybaczenie, jeżeli tu i ówdzie doznałem niezbędnych uproszczeń lub zaokrągleń. Powstaje więc trzecia i zapewniłam, ostatnia w moich listach z nad Pilicę*) tabela: Gostomia w lipcu 1949 r.

Powierzchnia	Go-pod.		Powierzchn.	
	ilość	w % ogólnej ilości	w ha	w % ogólnej powierzchni
do 1 ha	9	6,2	6,4	—
do 2 ha	16	12,0	23,3	—
do 3 ha	33	24,2	81,3	—
do 4 ha	32	23,6	108,5	—
do 5 ha	34	25,0	144,0	—
do 6 ha	10	7,5	52,8	—
pow. 6 ha	2	1,5	16,5	—
Razem	136	100	432,8	—

Z tego wynika, że charakterystyczna dla Gostomi jest gospodarstwo 3 — 5 hektarowe, ten bowiem typ stanowi 73% gruntów gromady. Jest to więc w strukturze swej wieś biedaków i średniaków o licznych stosunkowo rodzinach, ale to nie znaczy, że na wsi panuje klasowy „pokój”.

Bo oto występuje na widowni t. zw. „dobry gospodarz”, człowiek, który powoli zaczyna się izolować od reszty wsi, swoją postawą stwarzając typ przejściowy pomiędzy średniakiem, a bogaczem wiejskim. Ten typ reprezentuje skomplikowane cechy. Będzie to więc gospodarz, któ-

przed wojną gdzie ktoś kiedyś słyszał o sztucznych nawozach, trudno było dostać i nie było za co kupić. Dziś jest zupełnie inaczej; nawozy sztuczne stały się niezbędnym czynnikiem w uprawie. Jak dotąd gostomscy gospodarze nie widzą powodu do narzekania na dostawę nawozów. Ogólnie twierdzą, że zbory powojenne z wyjątkiem katastrofального roku 1947 są lepsze od przedwojennych, bo „to widziacie, zawsze człowiek czegoś się nauczy”.

Ale mimo to jest w Gostomi utwierdzone przekonanie, że kto świnie nie hoduje ten będzie klepie, bo przecież to wszystko niemal biedniacy, a kto ma więcej nieco gruntu, to znowu liczniejsza rodzina zasiada do posilku. Trzody chlewnej w Gostomi jest dość dużo i dużo jest przy tym starania. Ponad 40% stanu pogłowia trzody chlewnej jest zakontraktowane. Akcja „H” wchodzi na tory powszechnej popularności.

Stan pogłowia bydłowego utrzymuje się na poziomie przedwojennym. Krowy i konie pasą się na wspólnym pastwisku; mleczność krow nie jest wysoka, a przeciwnie często są wypadki, że krowy przeciętnie dają zaledwie niecałe 2 litry dziennie.

Konie — to słaba strona mazowieckiego gospodarza, więc i w Gostomi olbrzymia większość gospodarstw trzyma jednego, dwa a nawet i trzy konie. I chociaż każdy z nich zdaje sobie sprawę z tego, że koń zjada bardzo dużo, że jego utrzymanie z reguły jest główną przyczyną deficytowości gospodarki drobnorolnej, to jednak posiadanie konia jest nadal nieodłącznym atrybutem „prawdziwego” gospodarza.

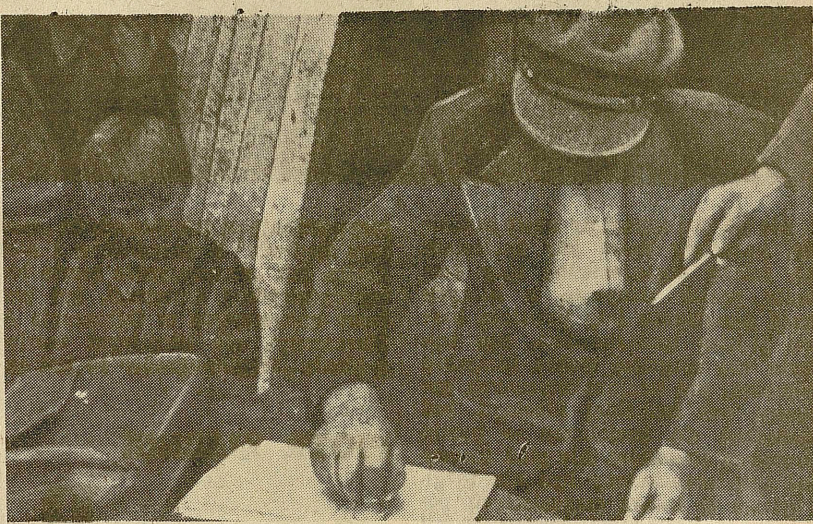
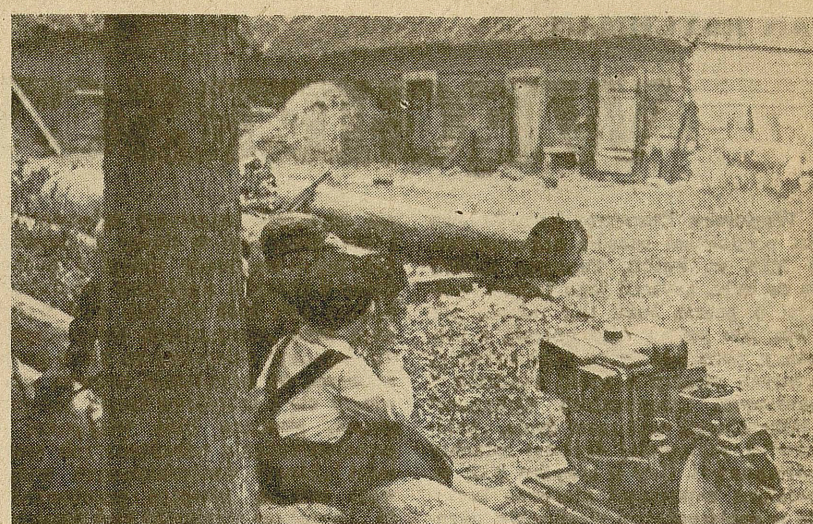
Ta deficytowość gospodarki drobnorolnej staje się zresztą coraz bardziej jaskrawa mimo intensywniej, prawdziwie celowej i rozsądnej pomocy państwa dla biedniaków i średniaków. W ciągu ostatnich 4 lat odeszło z Gostomi ponad 20 osób do miast lub do zawodów „miejskich”. Ten „exodus” ze wsi na nadal odpowiedni klimat, przy czym o mieście myśli nie tylko młodzież ucząca się, ale i gospodarze zwłaszcza ci, którzy siedzą na 2 lub 3 ha ziemi. Jeżeli zaś odwieka się to w czasie, to poszukuje się dodatkowej pracy i dodatkowego zarobku. Pobliski ośrodek rolny PGR zatrudnia często dniówkowych robotników, którzy rekrutują się głównie z t. zw. „czworaków”, a więc spośród dawnej służby folwarcznej, która otrzymała 4 lata temu ziemię z reformy rolnej. Inni latają jak mogą braki w swoim budżecie, najczęściej jednak tylko nieznacznie radzą sobie w ten sposób. W Gostomi widać braki w sile roboczej, nikt z gospodarzy nie trzyma stałej siły najemnej. Kiedy są zniwa lub inne roboty polne, to i tutaj tak jak w wielu innych wsiach, pomagają sobie wzajemnie albo wynajmują na 2 — 3 dni. Ale tak jest w okresie żniw czy kopania kartofli.

Odbądźmy podróż po miesiącach kalendarzowych, aby przypomnieć, jak rozkłada się w czasie nasilenie pracy powieźmy w gospodarce 2-hektarowej przy obsadzie jednej siły męskiej. A więc styczeń — to obrządek gospodarki nie trwający dłużej niż 40 godzin w ciągu całego miesiąca. Luty to już szykowanie nawozów i narzędzi, razem zajmuje około 60 godzin nieprzerwanej pracy. Marzec — pierwsze roboty polne, szykowanie opału, którego zapas wykończył się przez zime, krzątanie wokół nawozów. Jest to już najwyższe nowe 60 godzin pracy. Kwiecień — to miesiąc siewu i sadzenia, co razem nie pochłania więcej czasu nad 90 godzin. W maju głównym zajęciem są siano kosy, jakieś inne roboty polne, w sumie zajętych jest znowu 80 — 90 godzin. Czerwiec — to szarwarki, redlenie, włozenie, pienie pszenicy itp., razem 50 — 60 godzin pracy. Lipiec — żniwa. Tu rośnie ilość godzin do konajmniej 200. W sierpniu — podorywki, sprężynowanie, orka na zagon, często zbiór owsa lub jęczmienia, niewiele więc ponad 100 godzin pracy. We wrześniu — kopanie kartofli, siew, siano kosy jesienne i zwóz siana. Praca trwa przeciętnie na jednego gospodarza z tym, że kartofli nie kopie, około 120 godzin, a kopanie kartofli 100 godzin pomnaża, bo rzeczywiście kopanie to długa i żmudna robota. W październiku jeszcze trwa kopanie kartofli, nawóz idzie na pola, idzie orka zimowa. Jest to jednak już niewiele, bo najwyżej łącznie 60 godzin.

Listopad i grudzień to już tylko młocka i obrządek, niewiele więcej razem niż 45 godzin chyba, że młóci się cepami, ale to coraz rzadziej praktykuje się.

Z tego naszego bardzo szkieletowego i — wybaczyć — dyktanckiego wyliczenia wynika, że łącznie gospodarza na 2 ha pochłania najwyżej 1000 robotniczych godzin czyli około 125 dni, jeżeli chcemy do wsi zastanowić 8-godzinny dzień pracy w miesiącu. Ale może dla porównania będzie to stosowne, bo przecież nie chodzi mi w tej chwili o szczegóły, a o sam rys zjawiska. W roku mamy około 300 dni pracy; czyli w gospodarstwach drobnorolnych panuje nagminnie stan względnej zatrudnienia, nieprzekraczający 42% dni roboczych. To też jest jednym z elementów deficytowości drobnej gospodarki w obecnym stanie rzeczy. Tu jest też ważki element do spraw wydajności, do spraw polityki zatrudnienia.

Cepy nie są już tak powszechnie stosowane zwłaszcza na wsi posiadającej



Fot. Jan Bielak

jącej prąd. Tak jest np. w Gostomi. Wiesz ta jest zelektryfikowana, pracują maszyny. Jest ich jeszcze naprawdę niewiele, ale są, podczas gdy przed wojną nie było ani jednej. Dziś każdy gospodarz ma siećkarnię, jest we wsi 9 młolarni, 2 siewniki oraz 1 żniwiarka. Każdą z tych maszyn chętnie wypożyczają sobie gospodarze, zwłaszcza młocarnie, tylko za zwrotem kosztów prądu. Siewniki i żniwiarki nie mają powodzenia, bo przede wszystkim za długo byłoby czekać na swoją kolejkę, a po drugie i siewnik i żniwiarka słabo pracują na „słych” polach porożuczanych w różnych końcach gruntów gromadzkich.

Pasożytnicze resztki

W okolicy jest jeszcze podobno kilku, którzy mają duże młocarnie albo na prąd albo na ropę. Jednym z przedsiębiorczych posiadaczy młocarni jest Pośledzki z Woli Pobiedzkiej. Sam gospodarz nie ma, siedzi u teściów, ale za to ma maszynę, przywiezioną w swoim czasie w cieższych z terenu Ziemi Odzyskanych. Młocarnia ta wędruje od zagrody do zagrody i w Woli Pobiedzkiej i w Wólcie i w Gostomi. Do maszyny potrzeba 7 — 8 ludzi obsługi, więc gospodarze wzajemnie sobie pomagają przy młóceniu, maszyną pracuje, a Pośledzki siedzi i liczy metry. Od 1 metra wymłóconego ziarna brał dla siebie w ubiegłym roku po 10 kg. Przeciętnie w ciągu jednego dnia młocarnia ta wymłóci 40 — 45 metrów zboża, czyli właściciel zgarniał sobie w ciągu dnia, w którym maszyną była w pełni zatrudniona, od 400 do 450 kg. ziarna. Przyjmując, że szło w młócenie żyto, ów „przedsiębiorca” zarabiał około 8 — 10.000 zł. dziennie. Ani takich wprawdzie w roku jest niewiele, ale i te kilkadziesiąt czy nawet kilkanaście dni wystarczy na to, aby z wyzysku chłopca czerpać poważne zyski.

W końcu lipca b.r. maszyna była nadal własnością pana P. i już od kilku dni młóciła zawzięcie. Okazuje się, że w ciągu roku nie nie zmieniło się w tym zakresie. Bo przecież nie można uważać za zmianę

faktu, że zamiast Pośledzkiego, jego żona liczy metry wymłócone i oddmień sobie lichwiarski procent za młócenie, gdy Pośledzki pracuje gdzieś w pobliskim młynie. Ile teraz chłop musi płacić za wymłócenie na tej maszynie? Tak samo jak w roku ubiegłym — 10 kg. od metra ziarna. Dlaczego chłopci wólczańscy, pobiedzkiejscy i gostomscy mimo oczywistej wyższości sprowadzają młocarnie? Odpowiedź jest prosta: nie ma w pobliżu ośrodka maszynowego, a młocarnia „prywatna” pracuje dobrze i daje czyste posortowane ziarno.

Trzeba przypomnieć, że dzieje się to niedaleko od Warszawy, w rok po uchwaleniu plenum sierpniowego KC PZPR i po uchwaleniu jesiennej Rady Naczelnej SL. Przecież na to, aby młocarnia ta pracowała, trzeba dużej ilości prądu, trzeba najpewniej zgody nowomiejskiego oddziału „ZEOR” na czerpanie setek, a może i tysięcy kilowatów. Wiesz... tajemnica poliszynela? A zatem kumoterstwo, co należy uważać za jawne popieranie wroga klasowego.

Jeden mówi: „gdyby był ośrodek maszynowy...”. Drugi mówi: „Gdyby była Spółdzielnia produkcyjna...”. Od tych „Gdyby” roi się w rozmowach. A przecież sprawy leżą nie w czyich innych tylko robotniczo-chłopskich rękach. Ani władza ludowa, ani sojusznik robotniczo-chłopski, ani walka klasowa — to nie frazesy, ale rosnąca potężniejsza wielka prawda, wiedząca do lepszego jutra. Jeżeli więc ośrodek maszynowy może zaradzić złu, to gromadnie trzeba walczyć o to, aby projekty nowomiejskiej spółdzielni gminnej co do założenia ośrodka maszynowego w Łegonicach zostały jak najszybciej i jak najpomyślniej zrealizowane. Jeżeli jest już wśród braci chłopskiej zrozumienie dla wyższej i doskonalszej formy gospodarowania w rolnictwie, jaką jest gospodarka zespolowa, to trzeba, aby zrozumienie to było coraz powszechniejsze i coraz bardziej skuteczne.

T. Orlewicz

*) Patrz T. Orlewicz: Handlarze i spółdzielni nad Pilicą. Wiś nr 38.

JAN REYCHMAN

WĘGIERSCY PISARZE LUDOWI

Węgierska literatura t.zw. ludowa jest produktem czasów najnowszych. W XIX w. Petőfi, Tancsics zbliżyli się do ludu, używali jego języka, walcząc o prawa ludu tak miasta jak i wsi. Ale potem wieś odeszła z literatury, pozostała tylko jako rekwizyt pewnych pisarzy z epoki realizmu z Gárdonyim „węgierskim Orkanem” i Mikszáthem, malarzem życia, „palóc” i schłapięciem drobnej szlachty zaściankowej. Gdy u schyłku XIX w. socjalizm zapuszczał pierwsze korzenie w społeczeństwo węgierskie, ograniczał się prawie wyłącznie do rosnącego proletariatu miejskiego, wstydlwie omijając wieś, co odbiło się potem w doktrynerstwie w sprawach węgierskiej rewolucji 1919 roku, które było jedną z przyczyn jej upadku.



Ale na wsi narastały nowe problemy, narastały nowe siły społeczne. Ich formą organizacyjną były rozmaite partie chłopskie, z których przed dwudziestą laty powstała bardzo jeszcze umiarkowana, nie wyzbyta ani uległości wobec faszyzmu Gombósa, ani nacjonalistycznych zakusów, ani kulackiej ideologii, ani uprzedzeń do socjalizmu — partia Drobnych Rolników. Ale głód ideowy wsi tym zaspokojony być nie mógł. I gdzieś w latach trzydziestych powstał — częściowo na lewicy Partii Drobnych Rolników, częściowo poza nią, w kolach, które w r. 1939 stworzyli t.zw. Narodową Partię Chłopską — nowy ruch intelektualny młodego pokolenia synów chłopskich, wychowanków t.zw. kolegiów ludowych (węgierskich), studentów. Byli to pisarze, poeci, socjologowie. Nie wyszele, nie zerwali ze swym środowiskiem, ba, zwrócili się „frontem do wsi”. Powstało szereg utworów poświęconych bolączkom wsi, tak z poezji czy prozy, jak i nauki. Wyszło szereg dzieł, które pierwszy raz przedstawiły bolączki wsi, jej nędzę, niedolę robotników rolnych, nędzę „tányi” (drobnych rolników) po dusznej gospodarstwie. W cyfrach, w dokładnych statystykach pierwszy raz zebrali oni wszystkie dane, dotyczące stanu materialnego warstwy chłopskiej.

Dokoła tej grupy, do której należeli: F. Erdei, P. Veress, J. Ortutay, J. Darvas, J. Illyes, Paweł Szabó skupiało się całe grono dalszych zwolenników; grawitowali tu m. in. i Nyirő, Kodolányi, József Erdélyi, Aron Tamasi, D. Szabó, Cs. Szabó, nawet L. Németh. Powstało szereg pism, jak: „Kalek Nepe”, „Szép Szó”. Stworzył się cały ruch określany nazwą „Falu-lukatók” (badacze wsi) lub „népi irok” (pisarze ludowi). Z ruchu tego wyszła część działaczy obecnej Narodowej Partii Chłopskiej (Memzet Partaszpart), koło tego ruchu grupowały się młode ruchy, jak „Front Chłopski”, „Front Marcowy” (1938) i inne.

Ruch „pisarzy ludowych” był z jednej strony bezspornie ruchem postępowym. W czasach faszystowskiego reżimu odważnie odsonił ranę chłopską, przedstawił wyzysk wsi przez feudalizm, godząc tym w wszech władne na Węgrzech obszarnictwo. Przypominał tradycje dawnych buntów chłopskich od powstania Dozzy w 1514 r.

Ale ruch ten od początków nosił w sobie zalety reakcyjne. Nosił na sobie grzechy wszystkich podobnych ruchów węgierskich, agrarnych, ruralistycznych. Grzechem byłoby przesadnie wyolbrzymianie roli chłopstwa, wyolbrzymianie jego znaczenia i misji dziejowej. Ruchy te, nawet o ile były rewolucyjne, to wpadając w ten „chłopcenizm” błędnie oceniali grę sił społecznych. Ich prototypem było rosyjskie „narodnicztwo”. „Narodniczy” błędnie sądził, że główną siłą rewolucyjną nie jest klasa robotnicza, lecz chłopstwo, że władza cara i obszarników można obalić przy pomocy samych tylko buntów chłopskich” (Historia WKPb, wyd. 1945, str. 13).

Ten mesjanizm wiejski przyjął i węgierski ruch agrarystyczny. Tak jak narodnicy uważali, że wieś jest przeznaczona do roli przebudowy na swój obraz i podobieństwo całego społeczeństwa, tak samo i ideologowie z grona „népi irok” uważali, że nie proletariatusz porwie wieś, ale wieś proletariatusz jest do porwania za sobą klasą robotniczą. Bezsprzecznie pisarze ludowi negatywnie ustosunkowali się do kapitalizmu. Ale w negacji tego kapitalizmu, i jego niwelującej kulturę narodową kosmopolitycznej tendencji wpadali w jakieś rasistyczne uwielbienie wsi i jej roli w odróżnieniu kultury węgierskiej. Piotr Veress, jeden z czołowych ideologów tej grupy, był wyznawcą mistycznej wiary, że „jeśli tu na Węgrzech jest ktoś podobny do ludu Arpada (t.j. do dawnych Węgrów) to nie arycjusz na ciebie a łaciński na duchu nasi panowie,

nie zżydziali umysłowo mieszczańskie i nie urzędnicy o duszy służalczej, ale my — węgierscy chłopcy i pochodzący z chłopów węgierscy robotnicy” („Husz év”, 1948 str. 24). Pod wpływem tego „mesjanizmu chłopskiego” uważającego chłopstwo za klasę przeznaczoną do odrodzenia narodu, rozwinęły się i szkodliwe teorie pedagogiczne, głoszące kult wiejskości i przeciwstawienie odrodzeńczych wartości „tányi” destruktywnym wpływom miasta, głoszące przekonanie, że „charakter węgierski jest dwójsty: azjatycki i europejski”, przy czym oczywiście zarażona europejskością jest warstwa górna, podczas gdy zdrowy w swej teźyźnie azjatycki jest lud wiejski. Jednym z reprezentantów tej pedagogicznej teorii, nieco

bicia życia gospodarczego na małe ogródkowe posiadłości, gdzieby w cieniu spokoju i zaciszu wychowywały się w „szkołach zdolności”, nowe pokolenia, nie był obcy zbliżony do „pisarzy ludowych”, powieściopisarz i myśliciel L. Németh.

Węgierscy pisarze ludowi — tak jak ongiś i narodnicy, jak potem czescy agraryści, jak nasi wiciwscy ideolodzy, jak francuscy ruraliści spod znaku Giono wierzyli, że możliwym będzie przeskok od obecnej wsi odrazu do jakiegoś idealnie wymarzonego ustroju przyszłej wspólnoty „ruralnej”, bez kapitalizmu, socjalizmu, bez walki klasowej na wsi. Chłopstwo uważali za jakąś jednolitą niejaką klasę, przeznaczoną do odgrania swej roli „do schłapienia narodu”, choć „chłopstwo nie tylko nie rośnie jako klasa, lecz przeciwnie rozpada się z roku na rok na burżuazję i biedotę” (Historia WKPb 1945 str. 16). Ta wiara w „ponadklasowość” chłopstwa była jednym z grzechów pierwotnych ideologii węgierskiego ruchu chłopskiego.

W ślad za tym szło u węgierskich ideologów ruralizmu lekceważenie klasy robotniczej. Veress w artykule „Chłopstwo a charakter węgierski” pisał w roku 1943, że „przemysłowe proletariatusz jest u nas jeszcze dziś mało i specjalnie jest to zresztą tak pogardzana i wydziedziczona klasa — tak że biedne, nieświadome chłopstwo jest ostatnim schronieniem węgierskości”. W tym samym artykule z 1943 r. Veress mówił dalej, że „chłopstwo zawsze było ziarnem kultury”. Wśród proletariatusz przemysłowego dziś jeszcze jest wielu obcego pochodzenia”. Jeszcze w swej książce „Buty na stole” Illyes reprezentuje pogląd, że „chłopstwo kroczy na czele warstwy pracującej”, najbliższy mu jest rzemieślnik i drobny rolnik.

Jak więc widzimy, temu całemu mistycyzmowi agrarnemu nie był obcy i sui generis rasizm, szukanie jakiejś czystej pogańskiej prawęgierskości, która reprezentowana miała być

przez chłopstwo. „Chłopstwo uważamy za rdzeń narodu węgierskiego” — głosił program „Frontu Marcowego” w 1938 r. „Chłopstwo samo może uratować naród” — głosiły wypowiedzi „pisarzy ludowych”.

Nic więc dziwnego, że zwolennicy tej „wiejskiej ideologii” znajdowali nierzadko wspólny język z reakcją. W negacji cywilizacji miejskiej, „zżydziałego kapitalizmu” spotykali się z rasistami spod znaku hungaryzmu i zielonych koszuł. W uwielbieniu prostoty wiejskiej, w idealizowaniu kultury wiejskiej i przypisywaniu jej rdzennie węgierskiego charakteru, znajdowali nierzadko wspólny język z pięknoduchami, szukającymi w ciszy wiejskiego spokoju i ucieczki od wszystkich przekleństw miejskich z hałasem tramwajowym, walką klas, sprawą żydowską, z epigonami rousseaizmu, byronizmu i ruskinizmu, widzącymi w prostocie wiejskiej powrocie do czystości natury, z jawnymi wstecznikami głoszącymi zniszczenie fabryk, a powrót do kołowości i wdzianymi w gospodarkę wiejską własnie wzór nierozwiniętej, najbardziej zacofanej gospodarki z drobną wytwórczością. Bezsprzecznie czołowi ideolodzy grupy „pisarzy ludowych” odcinali się od reakcyjności, uważali się za radykalnych, ba, w chwili rozgrywki, już u schyłku minionej wojny znaleźli się wspólnie z innymi ugrupowaniami demokratycznymi we wspólnym frontie walki z faszyzmem. Ale metnactwo ideologiczne, brak kręgosłupa ideowego, nie mogły pozostać bez wpływu tak na zamazanie wielu granic między pisarzami ludowymi, a publicystyką reakcyjną, jak i żeglowanie w stronę faszyzmu, czy też choćby nieuczność na faszyzm u wielu pomniejszych pisarzy znajdujących się w orbicie „Kalek Nepe”. Było to zjawiskiem zresztą normalnym u wszystkich agraryzmów. Już wyszli z narodnej woli działacze z uwielbienia „obszaryzmu” i jej wartości dla socjalizmu przeszli do ugodz wobec cara i uwielbienia kulactwa... Tak samo i Giono ze swym

starostą powiatowy. Taka jest krótko przedstawiona treść powieści i koncepcja jej fabuły.

Babajewski wypełnia te ramy fabularne rysując szeroki obraz warunków gospodarczych i organizacyjnych stancji i kolchozów. Obraz ten znacznie odbiega od obrazu kolchozów Ukrainy, tym niemniej problematyka jest tu ta sama, ze względu na pewne — wywołane warunkami wojennymi — zapóźnienia w rozwoju. Przed kolchozami w Ust-Niewinskiej stoi zadanie intensyfikacji produkcji rolnej, rozbudowy nowych działów gospodarki (hodowla drobiu, rybactwo), budowa nowych urządzeń, które podniosą ogólną kulturę rolną, jak projektowana w planie budowa elektrowni, rozszerzenie urządzeń kulturalnych i społecznych itp.

5-letni plan gospodarczy kolchozów stał się więc centralnym zagadnieniem powieści, szeroko zaplanowanej, — dotychczas otrzymaliśmy dopiero jej pierwszą część, która jest już sama dużym tomem. Fakt ten należy tu mocno podkreślić, świadczy on bowiem o uznanej w Związku Radzieckim ważności zagadnień wiejskich, o ugruntowanym bytwaństwie tych zagadnień w literaturze radzieckiej.

Centralna rola planu gospodarczego w fabule i kompozycji powieści (cała powieść rozsnawa się zgodnie z ogólnie występującą kolejnością czynności w planowaniu, a więc najpierw: zapoznanie się z istniejącym stanem rzeczy, potem powzięcie koncepcji, uzgodnienie jej i opracowanie planów szczegółowych wraz z kosztorysami, zatwierdzenie planu, przygotowanie elementów do jego realizacji i sama realizacja) jest zjawiskiem niewątpliwie nowym, niespotykanym w naszej literaturze i dlatego warto jej się bliżej przyjrzeć.

Babajewski nie starał się tego planistycznego schematu ukrywać. Autor zagadnienie planu związał z historią człowieka. Stara się więc tylko to historię jak najwięcej urozmaicić i uczynić ją atrakcyjną dla czytelnika. Dlatego przetrzuca akcję powieści ze stancji do miasta powiatowego, do okręgu, do Moskwy. Dlatego wprowadza ciekawą akcję, przebiegającą prawie równoległe do głównej akcji powieściowej. Oto ona. Przyjacieli bohatera — podoficer Siemion Genczenko, przyjeżdża z Tutarinowem do Ust-Niewinskiej, gdyż nie wie, co ma ze sobą począć. Nie ma nikogo z rodziny, więc wszystko ma jedno, gdzie osiedlić. Życie w Ust-Niewinskiej i realizacja 5-letniego planu pochłaniają i jego, wiążąc ze stacją, tym łatwiej, że zakochał się w dziewczyną w siostrze Tutarinowa Anfiście.

5-letni plan gospodarczy rozwoju kolchozów nie narodził się bez trudu. Wielanie go w życie napotyka również na duże przeszkody i opory. Plan ma swoich entuzjastów i swoich wrogów. Ciekawe, że wrogami, są typy ludzi ujemne, entuzjastami — dodatnie. Nawet podział osób autor przeprowadził, jak z tego wynika, pod kątem widzenia planu. Można powiedzieć, więc, że plan to miara i probierz wartości w odniesieniu do wszystkich spraw powieści.

re dokonują się na oczach czytelnika. Tworzy literackie o charakterze dydaktycznym pisane są zwykle z myślą o szerokich rzeszach czytelników, a więc w sposób możliwie przystępny. Babajewski nie jest wyjątkiem od zasady, ale jej celnym potwierdzeniem.

W jaki sposób stara się Babajewski o przystępność?

Odpowiadając na to pytanie możemy napisać cały tom. Ograniczając się więc do wyliczenia kilku najbardziej ciekawych cech pisarstwa Babajewskiego. Babajewski stara się przede wszystkim jasno i wyraźnie rozstrząsać dodatnie i ujemne cechy oraz wyciągać wnioski z każdego faktu. Nigdy nie pozostawia czytelnika w niepewności co do moralnej wartości ludzi i ich czynów. Dlatego też — jak widzieliśmy — wyraźnie dzieli postaci na dodatnie i ujemne.

Drugą cechą, która wypłynęła z dążenia do przystępności, jest prostolinijność fabuły i jej jednorodność. Do dalszych należy zaliczyć unikanie skomplikowania psychologicznego, wyraźne charakteryzowanie postaci. (Autor wprowadza ich nie wiele, ale za to są to postacie typowe).

Nastrojowość, większości opisów przyrody, która może się krytykować wydać nieco banalna, została prawdopodobnie wprowadzona również w tym celu. Ma ona być ozdobą, którą mile spotyka w książce czytelnik niewykształcony.

Omawianie książki Babajewskiego można rozszerzać, ukazując pewne jej nowe właściwości tematyczne i warsztatowe, jej znaczenie jako dzieła o aktualnej problematyce, które ma wszystkie walory, aby stać się lekturą każdego, kto umie czytać. Najlepszą oceną książki Babajewskiego jest jej poczynność. Na jej podstawie krytyka może już odcenić walory utworu w Związku Radzieckim.

Piotr Ziarnik

uwielbieniem ziemi wylądował w wichowskiej kolaboracji. Nie dziwnego, że i z grupy „népi irok” niejedną znalazł się całkiem w innym obozie, jak specjalnie popularny w Niemczech hitlerowski Nyirő, jak poeta zielonych koszuł Erdélyi, jak metny filozof węgierskości Németh, jak Sinka i Kodolányi, jak przywódca pracy Narodowej Partii Chłopskiej I. Kovács.

Zresztą koligacje agrarno-faszyzmu mają swe analogie i w Polsce. Tak jak u nas agrarni ideolodzy jak Skuza czy Młodzeniec znajdowali gościnne przyjęcie na łamach „Prosto z Mostu”, tak i na Węgrzech niejedną z pisarzy ludowych nie uważały za sprzeczne ze swą ideologią produkowanie się na łamach węgierskiego odpowiednika oenerowskiego organu, redagowanego zresztą przez b. „ruralistę” Oláha „Egyedül Vagyunk”. Przykładem ewolucji pisarza z grupy „pisarzy ludowych” był József Erdélyi, który jeszcze w r. 1939 akcentował swoje stanowisko w stosunku do faszyzmu pięknym wierszem „Niech żyje Polska”, a w następstwie stoczył się do roli nadwornego poety, wodza strzałokrzyżowców Szalasięgo.

Aczkolwiek nie zawsze odgraniczony na prawo, nierzadko przeniknięty antysemityzmem i szowinizmem, ruch pisarzy ludowych w całości mógł reprezentować czynnik postępu przed 1945 r. Obnażał krzywdę wsi, stawiał czoło feudalizmowi, kapitalizmowi, faszyzmowi. W swej przeważającej części, poza jednostkami, które pożeglowały na prawo, znalazł się w decydującej chwili na froncie walki z faszyzmem a w następstwie i w obozie budowy nowej węgierskiej demokracji. Piotr Veress, József Darvas, József Ortutay zajmowali czy zajmują jeszcze wysokie stanowiska w Węgierskiej Republice Ludowej. Ale oczywiście wejście to nie może się odbyć bez odrzucenia całego dawnego balastu. To co mogło być postępowym w 1939, nie jest nim w roku 1949. Wiek węgierski wkracza dziś wspólnie z całym

Jan Reyhman.



ludem węgierskim pod przywództwem Węgierskiej Partii Pracujących na nową drogę, wiodącą do socjalizmu. A jednak i dziś jeszcze wśród pisarzy z dawnej grupy pisarzy ludowych nie brak dawnych sposobów myślenia, nie brak traktowania chłopstwa jako jednolitej, pozaklasowej, ponadhistorycznej warstwy, nie brak przypisywania mu specjalnej misji dziejowej i roli kierowniczej, nie brak nawet kultu małego rzemiosła, rozdrobnionego gospodarstwa uważanego za zaprzeczenie niewoli, na wzór swobody... W chwili zastrzeżonej walki klasowej poglądy te mogą tylko być wodą na młyn dla okopów św. Trójcy, szykujących się do ostatniej obrony resztek swych pozycji w walce z następującymi na wsi węgierskiej przemianami. Albowiem głoszenie jedności chłopskiej, to zaprzeczenie walki z kulactwem, to głoszenie solidarności z kulactwem a więc z kapitalizmem. I głoszenie odrębności chłopskiej, w chwil kiedy trwa walka o jej zaczerpanie to tylko woda na młyn dla tych, co na podstawie głoszących radiowych z oceanu szepczą dziś o pokrzywieniu chłopstwa przez miasto, o spychaniu wsi na dalszy plan. I wszelkie koncepcje „trzej siły” mogą służyć tylko tym celom, którym popośrednio czy bezpośrednio służą wszelkie inne „trzej siły”, tylko tym mocom, które tymi siłami grają dla swych imperialistycznych interesów.

Jan Reyhman.

PIOTR ZIARNIK

POWIEŚĆ O PLANOWEJ PRODUKCJI W ROLNICTWIE*)

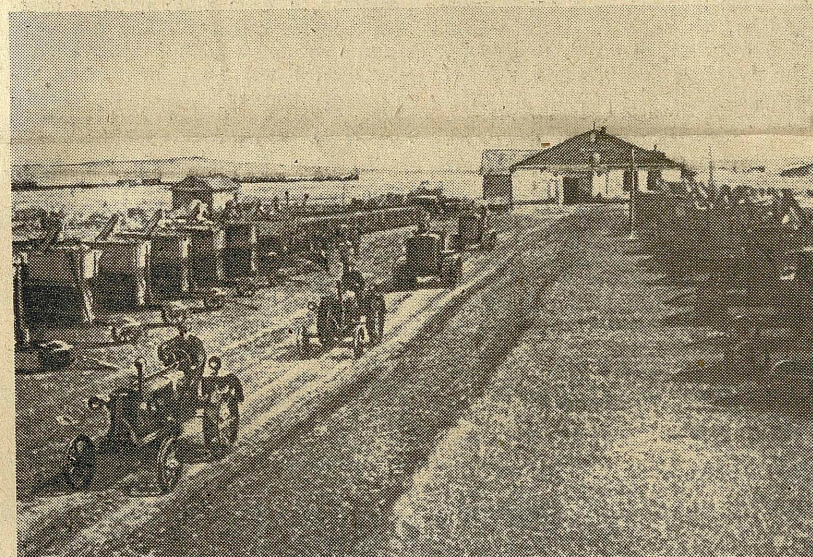
Jak wysoko ceni się u nas w tej chwili utwory literackie, poświęcone aktualnej problematyce społeczno-gospodarczej, świadczy przyjęcie przez naszą krytykę „Fundamentów” Pytlakowskiego — powieści, posiadającej więcej wad niż zalet i nie wnoszącej do współczesnej literatury polskiej żadnych wartości poza trafnie wybranym tematem. Z tego tylko powodu, że Pytlakowski poświęcił swą powieść odbudowie i rozbudowie konkretnej fabryki — a więc sprawie, która była i jest treścią życia milionów robotników polskich i w której zbiegają się zasadnicze problemy Polski powojennej, książkę tę zaliczono wraz z kilkoma nie-współmiernie wartościowymi pozycjami literackimi (jak choćby cykl Brandysa) do grupy utworów, otwierających nowy okres w naszej literaturze.

Skoro nasza krytyka tak mocno stawia sprawę powieści współczesnej, (która byłaby jednocześnie dostępną najszerszym kręgom czytelników), warto zająć się — wprawdzie jednym z wielu, ale za to bardzo charakterystycznym utworem literatury radzieckiej, w którym zrealizowano to, co my chcielibyśmy widzieć zrealizowane w naszych powieściach współczesnych. Myślę o wydanej niedawno przez „Książkę i Wiedzę” przekładzie powieści Siemiona Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy”. Co prawda wydano dopiero pierwszą część powieści, ale na tej już podstawie można mówić o pewnych cechach ogólnych nie tylko tego utworu, ale i tego typu pisarstwa.

Powieść Babajewskiego wiąże ze sobą dwa tematy: pięcioletni plan gospodarczy kolchozów i przodownictwa pracy zastępujących żołnierzy Armii Czerwonej, którzy po zdemobilizowaniu wracają do swych rodzin i do społeczności wiejskiej w blasku wojennych czynów i bohaterstwa. Obydwa tematy — to sprawy niezwykle ważne w życiu Związku Radzieckiego — kraju, który poniósł w ostatniej wojnie największe straty w gospodarce narodowej i który po zakończeniu wojny zdemobilizował z Armii miliony osób.

Przed rolnictwem radzieckim sprawy te stały w szczególnie ostrej formie. Gdy przed trzema miesiącami zwiedzaliśmy kolchozy Ukrainy, wszędzie spotykaliśmy się z żywą problematyką odbudowy powojennej w związku z ogromem zniszczeń, jakie poniosły te kolchozy. Dla przykładu: w kolchozie „Zwycięstwo” (Peremoga) w rejonie kachariwskim mówiono nam, że zniszczenia wojenne w gospodarstwie samego kolchozu szacuje się na 3.600 tys. rubli. Niemcy spalili wszystkie budynki wspólnego gospodarstwa i wybili cały inwentarz kolchozu i kolchozników. Takie same zniszczenia miał kolchoz „Proletariatusz” w rejonie Czerkass i kolchoz „Rodziny Czerwonych Partyzantów”. W tym ostatnim ocalał jeden jedyny budynek. Oprócz tych materialnych — równie ważne były ciosy natury moralnej. Niemcy na zajętych terenach Związku Radzieckiego konsekwentnie niszczyli ustrój socjalistyczny.

*) Siemion Babajewski: „Kawaler Złotej Gwiazdy” — powieść — „Książka i Wiedza” — 1949 r.



Stacja traktorowa

Jeżeli się mówi o postaciach powieści, to sądzę, że w związku z tym należy zwrócić uwagę na akcenty krytyczne w odniesieniu do stosunków panujących w kolchozach. Babajewski dając typowego „bohatera pozytywnego”, dał mu pole do popisu, przedstawiając reformatora, przedstawiając taką sytuację, która wymaga reform. Przedstawiony stan gospodarki kolchozów jest raczej słaby. Pola w dużej części nie zostały dostatecznie dobrze uprawione, w związku z czym plan zapowiada się raczej mierny, choć w kolchozie im. Budiennego, gospodarującym na takiej samej ziemi, zboże jest ładne i według szacunku da plon wysoki. Jeden z kierowników kolchozu prowadzi rozrzućną gospodarkę wspólnym dobrem, należącym do ogółu kolchozników, wypuszcza ziemię kolchozową w dzierżawę i nie dba o należytą uprawę pola. Poprzednik Tutarinowa na stanowisku przewodniczącego rejonowego komitetu wykonawczego nie potrafił ocenić ważności śmiałego i dufogalowego planowania, chociaż dbał o skrupulatne wykonanie bieżących prac w kolchozach. Kierownik biura zaopatrzeniowego jest krętkaczem, a przewodniczący rady stanicowej marzy-cielem, którego należy „uziemnić”.

Przejawiają się w powieści różni ludzie, charakterystyczni dla pracy i stosunków wiejskich. Krytykując stosunki, autor buduje dodatnie i ujemne typy ludzi, zgodnie z zasadą, że o wszystkim decyduje człowiek, że warunki są takie, jakimi je uczynią ludzie.

*

Powieść swoją powieść sprawom tak aktualnym i ważnym dla gospodarki narodowej Związku Radzieckiego, Babajewski miał na celu przede wszystkim mobilizację ludzi do naśladowania pięknego wzoru bohatera w walce i przodownika w pracy pokojowej. Charakter dydaktyczny powieści jest wyraźny. Wskazuje na to choćby dokładne i stale wprowadzane wartościowanie osób powieści i wszystkich zdarzeń, które

*

Piotr Ziarnik

MARIANNA KOŚCIŃSKA

SWARY DOMOWE

(fragment powieści)

Było to pod koniec października. Kacalina obudziła się po nocy. Podniosła się, usiadła na brzegu łóżka i wzdychała długo i przejmująco. Następnie wstała, zaświeciła mały kaganek i w koszuli krzątała po izdebce.

Dzieci spały pokotem na barłogu, na ziemi. Tylko Wojtek chrapał pod piecem na złączonych ze sobą dwóch ławkach. Wikta, Antoś, Zosia, Rejna leżały na zaścielennej słomie, tak jak chodzący cały dzień w ubraniach, przykryte kbatem ojca świętą chustką. Czarny gąszcz włosów Wikty rozsypany na mierzwie zaplała się pod bosymi stopami matki. W postępowaniu odpłatała zawiadające kudły. Nie chciała pobudzić dzieci, cichutko, na palcach krążyła koło barłogu.

— Miałam niedobry sen... miałam niedobry sen... — powtarzała smutno w podłogę.

Na drugim łóżku pod przeciwległą ścianą wydała zgrzebną szelgrą oktuska. Poruszyła się szara pierzyna w szerokie pasy. Czarna, nieduża głowa Kacalii podniosła się lekko w górę.

— Coż tak tońcis po ty izdebce jak nieprzymierzający niebożyska śtalka na pogrzebinach? — odezwał się gniewnie. — Cały dzień żrzymiesz, to nie dżiwoż że po nocy nie idziesz spać, ino jójcis i jójcis.

— Bo mnie już cały świat mierzi! — odburknęła kobieta.

— Dy jo wiem że ciebie wszędy wszędy mierzi!

— Mo mnie może nie mierzić? ho? — Kacalina przystanęła przęgięta w stronę chłopca. — Dziecka jak te psy w budzie poniewirają się po ziemi!

— Jo ty syptoli na ziemi jakim chodokiem był i dosiela żyje — odburknął bez ubolewania, jakby to był zwykły porządek rzeczy.

— I lotego żeś się ty poniewirol, mają się poniewirol i twoje dzieckak?

— Dy coż im zrobić? Coż teroz na to poradzę? Gór przewolot nie będe.

— Trza było zawcasu większą chaupę postawić, nie taką klotusie, ale większą izdebkę, żeby się po mieszkis jesce że dwie pościele! Bo tu sie ni ma nawet kań obrócić!

— Ty byś się jacy po wielkich izbach obracała...

— Pewnie zebym się obracała! Postawiony na stole kopciuszek obwał izdebkę mdym, kopącym się światłem. Jak z komina po suzonych, olśniewających polanach ciągnął się z nieoskłonionego kłota w górę cieniutki dymek. Miauczenie noworodka wypełniało ściany ciśnień izdebki. Kacalia z westchnieniem odwrócił głowę do ściany. Kacalina kopała barłóg ze złością:

— Słoma furt i cęgiem rozłożono po ziemi, jak w stajni!

— Mogłaś iść za takiego, kańby nie było rozłożono... — zadrwił.

Kobieta zwróciła głowę pod przeciwległą ścianę i pochyliła się cała naprzód:

— Podpole kiej te chaupie!

— Dy podpol... Pódeymy wszyscy z tobolami na działy!

Bury kot wypuszczony z rąk Rejny szedł ostrożnie po słomie. Naciągając grzbiet podniósł ogon do góry. Cichym skokiem, zniżej znalazł się nagle na brudno-czerwonym wyspie poduszki dziecka. Matka szarpnęła wyspiem, odrzuciła kota aż trzasnął łebkiem o futrynę drzwi. Z patającymi oczyma przykucnęła nad kołyską, podając pierś dziecku:

— Ta pijowka jedne pół zdrowio z cłowieka wysię... drugie pół zdrowia zji cłowiekowi ta dziado-sko buda, ta wściekło buda!

— Dziekuj Bogu że taką mos.

— Mom w rzyci taką bude!

— Lepi zebys ją trochu oporządziła...

— Łońsiego roku-m ci godała zebys przystawił na drugi stronie izdebkę... ale ciebie nawet święty nie przegodo.

— Za co-m miał przystawić? Za co?

— Trza było pożyczyc w kasie piniędzy!

— Ooo, dy jo wiem... Jacy byś piniędzy pożyczyc. A nie wis z cego się oddol?

— Ty sie zawdy wszędyk boisi!

Z pościeli matki podniosła głowę. Franusia, Zia pleców ojca trzeszczyła ślepia Jagnieszki. Tylko spod pieca rozchodziło się po całej izdebce mocne chrapanie. Przebudzone dzieci zaczęły się wiercić, tarły reklamie ciała. Kacalina objęta chłodem trzęsła ramionami nad kołyską:

— Biedne dzieciśka... Dość że ich bida bije, to ich jesce wsy jedzą.

— Jako żeś gospodyn? — zapytał Kacalia uragownie. — Jo mom oporządzać dziecka, dziadów krojstno?

Matka schowała pierś za rozpiętą w prozie koszulę i rozkolebała kołyskę. Posyłała pod przeciwległą ścianę nienawistne spojrzenie wykrywała twarz i poczęła szyczyć przez szerokie, podane do przodu zęby:

— Ty dzia-du! Som oporządź dziecka, dziadu krojstny, kiej mają ino tela co na sobie! Póś ich gołe po chaupie na taki ziąb, ty dzia-du! Wygney ich gołe do skoły, wściekły dzia-du!

Kacalia zerwał się z posłania, bliszcząc galkami czarnych oczu:

Jakbyś dziadów nie była, to byś w nocy z dzieck wyprala a dziecka byś wraziła na pościel!

— Wroź ich ty!

— Ty byś ich wraziła na pościel?... Mierziłoby cie że we dnie po próżnicy polegają! — Ale jak sie im bez caluکی dzień iskać kazujes, to cie nie mierzi! — Samaś dzia-dowa, wsy cie jedzą, to i dziecka przy tobie jedzą!

— Caluj mnie w rzyć!

— Ty mnie caluj w rzyć!

Szklany głos noworodka uciszył się w rozkołysanej kolebce, jakby się przeraził wściekłych głosów rodziców, umilkł zupełnie. Na Wikcie poruszyła się kraciasta, niedzielną chustka matki. Kacalina spojrzała w tamtą stronę. Nagle zgięła wół doskoczyła do barłogu i zdarła chustkę z córki. Z trzaskiem zamknęło się wieko skrzyni. Plecy dziewczyny zwinęły się w pałąk, zatrzęsła się z zimna w cienkiej, siwej sukience. Matka przeszła ku szafie, zdjęła z kołki niedzielną kabat ojca, z szumem rzuciła na nią.

— Moja niedzielną chustka mo sie jacy poniewirol? — ujadła placzliwie. — Kiej żeś się o dziecka postarol, niech sie poniewirol i twój niedzielną kabo!

— Niech go wsy zjedzą! — błysnęła oczami ojciec.

— Kup gesty zgrzebiel! Dej na mydło! Wtey wsy nie będe!

— Przecie każda kropkę mlyka z chaupy wyniesies... Kozde jojko... Co robis z piniądzmi?

— A nie wies ty że trza dać dzieckom na książki, na zeszyty, na atrament, ołówki i pióra? Ty im dajes, ty?! Ciebie nie obchodzi cy mają cy ni maja! Doles kiej na patycki, na sól, na naftę? Doles kiej na łachy? Spytolęś się kiej cy dziecka mają buty?!

— Tyś gospodyn!

— Tyś gazda!

— A gdzieś podziwos te piniądzce co ci ze zorboków oddaje? Przepi-jos ich?

— Jakie piniądzce? Z jakich zorboków? — zapytała świszcząco.

— Kacalia kręcił w bezgranicznym, oburzoną zdumieniu głową:

— Jako to posoka, nie baba...

Pod piecem zaszeleszczała ławka. Ojciec spojrzeli wychylił się w tamtą stronę. Wojtek dzwignął się z siennika i ziewając pocierał plecami o piec. Nagle uszytył plecy i huknął grzmieć na całą izdebkę:

— Juz sie hosielicie! —

— Dziecka świadkiem — mówił żółciowo Kacalia — zem bez całe sześć tyżni robił koło stodół na wygonach. Gdzie sie te moje zorboki podziały? Co sie za nie kupiło?...

— Noc w noc sie harnasa jak krztynie na imieninach. — Wojtek pocierał plecami o piec wymijając.

— Wsy mnie zrejają jak wszędy dziażdzy...

— Kań sie te moje zorboki podziały? — zawodził znowu ojciec.

Wojtek trzasnął grabą o ławkę:

— Przestańcie wy z temi zorbokami!

— O dy, tak... — Kacalia skulił plecy. — Wy wszyckie jacy za matką obstajecie. Wszej jest racyo matki, nie moja. Matka wsy wszej buntuje na mnie, to wszycko jedziecie na mnie jak na burego psa. Jo tu tela znacze co dziod komorze. Wszyckie sie na mnie bocycie, wszyckie mna poturocie...

— Nikto wami nie poturo. — Wojtek wyciągnął się na ławkach.

— Ale bida to jest sakramenko, jest. Dziecka się kocą a kocą. Potrzebne to ostatnie co wrzeszy w kołyse jak jaźwiec?

Kacalia podniósł buntowniczo głowę:

— W gazycie pise ze dziecka Pol-sce potrzebne.

Broda Wojtki wysunęła się na krawędź ojcowego łóżka:

— Potrzebne?... Ale nie takie hyrloki, nie takie zdechloki jak waskie! Takie to ino są ciężarem!

— Cięte są przecie i rozgarnięte!

— Teroz, pokieła są małe. Ale jak podrosną, będą z nich zdechloki. Ledwie sie ich kto dotknie, zaroz sie przewróca. Bo z cegos mają mieć się, z cego? Dziady po prośbie lepi jedzą, bo se choć chleba uzbirają. A my, jak te prosieta jemy jałowe zimioki i z kapusniorkom cyr!

— Widzicie go... — oburzył się ojciec. — Dy pieccoz chlyb, zjizdzie wszycko ziarno do zimy, potemu wrzemy wszyckie zęby w ścianę! Ooo, jo wiem, chlyb byście pacy po próżnicy muliły.

— To po jasną cholere starocie sie o dziecka kiej im nima co dać zryć? — charczał ochryple Wojtek, waląc rękami o siennik. — Bez te dziecka cało niedolol! Jakby ich tela nie było, było by nom duzo lżej!

— Ale nie przy wasy matce — cędził słowa powoli z namysłem ojciec. — Dziadów by sie nawet we dworze gazdawco nie umiała. Wszycko by przetrwonila. Drzymała by jacy i spała. Bez jej gospodar-ke cało niedolol...

— Stul pysk! — wrzasnęła Kacalina.

— Ty stul pysk! — ryknął Kacalia.

Na barłogu roili się dzieci jak karakony we wnce pod piecem. Kłócać się w cichoci między sobą, wyrwały sobie nawzajem oba kbaty ojca. Silniejsze ograbiało z okrycia słabszego. Ciemna głowa Wikty poruszyła się koło stołowej nogi. Nagle uniosła pod kopce, nikt światło rozpaczyliwie bładą twarz.

— Nikt nie jest biedzie winien — odezwała się niskim głosem. — Ani mama, ani tata nie są nic winni. Mama się męczy i tata się męczy. Dzieci są, bo Bóg daje. Ludzie są w Polsce potrzebni. Wina jest tylko w tym, że świat jest źle urządzony.

— Dobrze godos, godej dali — odpowiedział z wspaniałomyślną drwiną Wojtek. — Od kształconych, lepszych panienek worto sie choćego dowiedzieć.

Kacalia mleczła, patrząc przed siebie. — Wikcie zdawało się, że odmawia pacierze. Nagle usiadł na łóżku, podniósł rękę do góry jakby chciał komuś grozić i schylając głowę zagladnął pod stół.

— Widzicie ja, jako przemadziot-ka... Świat jest źle urządzony... Pon Bóg świat źle urządził... — przekomarzył przeciągając słowa.

— Nie Pan Bóg, tylko ludzie! — zawołała przekonywująco cała w pomieninach.

— Ludzie świat urządzili, ludzie? — Naturalnie!

— Nie bluźnij Bogu!... Bo Pon Bóg świat urządził!

— Pan Bóg świata nie urządził! — wyciągnęła głowę spod stołu. Pan Bóg świat tylko stworzył, a ludzie źle urządzili! Tak nie powinno być, żeby jedni mieli za dużo, drudzy nic!

— Mają, bo mieli! — krzyknął ojciec. — Odbierzes im? Odbierać i kraść nie wolno! Grzech!

— Ale upominać się o krzywdę — wolno!

— Będiesz ty cicho! — wrzasnął spod pieca Wojtek. — Lepi zebys dziecka oporządziła. Tako staro dziopa jest w chaupie a wsy dziecka jedzą. Z mądrowanio porządku ani chleba nie będzie!

Przechylił się na ławce i strzyknął sline pod stół. Pokurczone dzieci wsuwały się szybko w barłóg przed nieprzyjemną napacją. Wikta zerwała się na równe nogi: z policków spływała jej ślina rechoczącego brata.

— Oporządź dzieci sam, biedroniu! — zaniosła się przerażliwym krzykiem. Dzieci się cesać nie pozwalają — mają pełno strupów na głowie! Zęby nie było wszy, trzeba mieć ciągle dużo ciepłej wody i mydła! Tata nie pozwala grać wody — mama mydło przed nami chowała! Nie wolno nam myć się mydłem, tylko odrobina wody w miseczce! Bez mydła i bez ciepłej wody nigdy czystości nie będzie! A jak czystości nie będzie, będą zawsze wszy!

Upadła na posłanie i chlpała w słonie. Dzieci zdarty z niej kbat i jak dziki zwierzy zdobyć trzymają kurczoko koło siebie. Spod pieca roznosiło się bladeńskie, namśmiejające się pogwidywanie. Matka zgasła kaganek, wchodząc do łóżka powiedziałła stanowczym głosem: — Wikta nikań nie pojedzie!

— Fiu! fiu! — zaświstał Wojtek.

— Widać przyniósł sie wom cos glupiego.

— Barz niedobrze mi sie przy-sniło...

— Coż takiego — zainteresował się Kacalia.

— Śniło mi sie — mówiła z głową przechyloną pod piec do Wojtki — że Wikta dzwigała na plecach zgnie zimioki, przewróciła się i polamała se nogi.

Wojtek zakonkludował filozoficznie:

— Kto wierzy w gusia, temu rzyć uschła!

— Nikań nie pojedzie — powtórzyła z naciskiem. — Póde ty kań do krawcowce, naucy sie syć i będzie jakosi żyła. W świecie mogłoby być ji jakie niesczęście przydarzyć.

— Dy jo je nie wyganiom — powiedział ojciec.

— Niech ta bolda jedzie! — zapispiszczała placzliwie Zośka. — Niech tu nie je za darmo! Jak pojedzie, lo nos wiecej jodla ostanie!

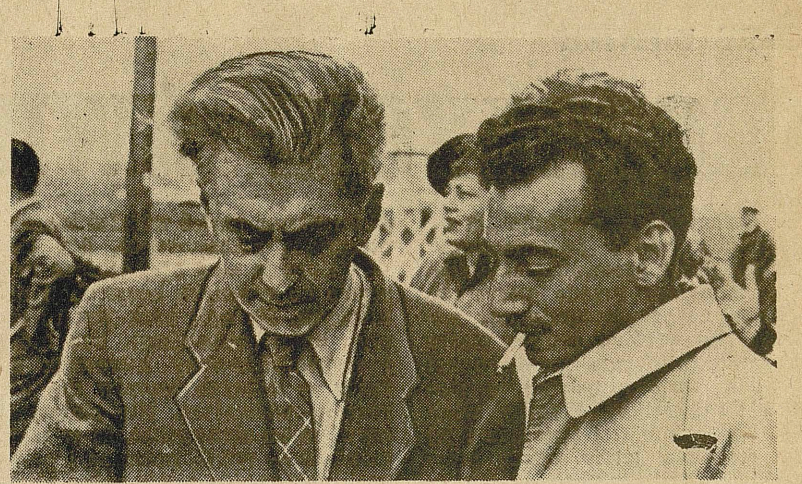
Wikta usiadła nagle na postaniu i zdecydowała twardym, nie gnącym się głosem:

— Nie bój się Zośka, bo ja i tak pojedę!

— Nikań nie pojedziesz! — zawołała gniewliwie matka. — Do krawcowce pojedzie, do syć!

— Do krawcowce? Do szycia? — podniosła się na kolanach obrócona do matki. — Teraz tak mówicie, a rano znowu będziecie kwękać i beczeli przede mną, że inne dziopy zarabiają! Ze tylko ja nie! Ze inni ludzie mają spórkę z dziop... ze tylko wy nie! Ze inni ludzie mają szczęście... Czego wy ode mnie chcecie?... Do krawcowce nie pojedę. Miałabym iść aż na trzy lata do praktyki! Całe trzy lata zarłabyście mnie wszyckie, że nie zarabiam, że jem za darmo! Wcześniej byście mnie zagryzli, zanim bym praktykę skończyła! Nie chce mamę zebyście beczeli po kątach, że nie ma ze mnie spórkę, nie chce! Wolabym zebyscie mi dali raczej po pysku, ale byli zadowoleni. Nie chce zebyscie się ciągle mna gryzli, nie chce! Te wasze gryzie mna zabijają! Dlatego muszę stać uciec, muszę pojechać, bo zwariuję!

Marianna Kościńska



I. Erenburg i J. Amado

KRZYSZTOF ŚLAWIŃSKI

PARADOKSY AMERYKAŃSKIE

„Wróciłem z U. S. A.“ Erenburga stanowi zbiór szkiców reportażowych, ciekawych i błyskotliwych. Napisał je w swym zwartym, ostrym, przypominającym chirurgiczny skalpel, precyzyjnie beztrosko kulturę Stanów Zjednoczonych poprzez klasę i poprzez zbiorowisko różnych narodowości, które w sumie składają się na naród amerykański i stanowią tam piramidę, nawiązującą się i ciężącą zdecydowanie na niższych warstwach.

Ciekawy jest w książce kąt widzenia. Erenburg patrzy na społeczeństwo amerykańskie jakby z dwóch pozycji. Z wewnątrz, jakby od środka oglądał tryby biegnącej maszyny, ale zarazem patrzy z zewnątrz, ze szczytów osiągnięć i sukcesów wielkiego społeczeństwa socjalistycznego. Widzi ją w Ameryce taką, jaka jest, chce ją zrozumieć, nie bez przychylnego stwierdzenia: „Posłuchajcie się setki hymnów pochwalnych i setki pamfletów. Łatwo ją wynosić pod niebiosa lub wyszydzać, trudno natomiast zrozumieć”. A równocześnie zdaje się dokonywać porównania: oto poprzez jakie cierpienia, wyszysk, katastrofy społeczne, kosztem ilu milionów wyszyskiwanych nędzarzy, białych i czarnych, czerwonych i żółtych, ludzi różnych ras, kolorów skóry i wyznań, wyrósł ten potężny przemysł w Ameryce, by w ostateczności stać się paśmożniczym i grabieżczym pajakiem, które, mu tylko istnienie państwa socjalistycznego przynosiła macki i ogranicza jego zachłanność. W innej zaś części świata, obejmującej Europę i Azję wyrastał także gigantyczny przemysł. W trudzie i znoju ludzi radzieckich, w niezmordowanym wysiłku narodu wielu narodów — ale i dla szczęścia narodów, dla ich rozkwitu potęgi i nadziei. Dwie drogi — dwóch skrajnie odmiennych ustrojów: amerykański kapitalizm zawiąsł, niby miecz damoklesowy, nad pokojowym współżyciem narodów — radziecki socjalizm stał się gwarantem suwerenności narodów i światowego pokoju. Taki jest wniosek z porównania.

Ale Erenburg — jak sam stwierdza — chce przede wszystkim widzieć i rozumieć Amerykę. Taśma filmu przesuwająca się szybko, po amerykańsku.

„Chciałem zaskoczyć do mego przyjaciela, reżysera Milestone. On znajdował się w Kalifornii, ja — w Nowym Jorku. Czy trzeba z górą zamówić rozmowę? — zapytałem. Telefonistka uśmiechnęła się: — Ależ nie, już pana łączy z p. Milestone. — Telefon międzymiastowy funkcjonuje również dobrze, jak telefony miejskie”.

Inny obraz: „Spędziłem w Nowym Jorku trzy miesiące. Gdy przybyłem tam, rozpoczynało się budowanie drapacza chmur w pobliżu mego hotelu. Gdy opuszczałem miasto, wykańczano go już. Oto dobre strony produkcji seryjnej. Jest to zresztą zgodne z wymaganiami naszej epoki”.

Nowoczesna, wysoka technika —

ale cóż? „Wszystko jest godne podziwu. Jednak twierdzą, że Amerykanie żyją wygodnie, ale nieprzymiennie, bo technika przytłacza ich”.

Murzynów zaś przytłacza cały brutalny imperializm. Nie tylko technika — ale także prawo, moralność (raczej amoralność) lynchu i teorii rasistowskich, nędza, groźba i pogarda. Między wielką techniką wielkiego przemysłu i prymitywem (jakże wielkim) nędznego bytu dwunastu milionów amerykańskich Murzynów rozpostiera się przepaść. Węcej — wszystkie nieuleczalne sprzeczności kapitalizmu.

„Pewnego dnia zaprosił nas właściciel plantacji bawełny; obszerny dom, otoczony starymi drzewami. Jego żona była piękna, dzieci również piękne, wszyscy dobrze ubrani. A wokół nich — czarni, pracujący w polu czoła niewolnicy. W domu wszystkie cuda Ameryki — poczynając od wspaniałego radia, które łapało Taszkient, Melbourne i Andorę a kończąc na elektrycznym wentylatorze. Sprowadziłem rozmowę na cierpienia Murzynów. Plantator odpowiedział mi z uśmiechem, że nie należy ich traktować, jak istoty ludzkie: „To przecież raczej zwierzęta...” Ani radio, ani wentylator nie wywarły żadnego wpływu na rozwój umysłowy tego zwolennika niewolnictwa. Wychodząc z tego domu, powiedziałem o jego gospodarzu: „To nie człowiek, to raczej zwierzę...”

W Stanach południowych dyskryminacja rasowa posiada sankcję prawną. Murzyni nie mają prawa brać udziału w zebraniach białych, nie mogą chodzić do kina lub teatru, do których chodzą biali, i nie wolno im — co za niemiłosierną interpretacją chrześcijańskich przykazań miłości bliźniego — modlić się w kościołach, do których uczęszczają biali, fanny jest w Ameryce Bóg białych i czarnych. Kto wie — który z nich lepszy?

W Ameryce Murzyni stoł pęza prawem i poza człowieczeństwem — zostają skazani „dla tego, że go oiały pobili lub obrażli, najczęściej dlatego tylko, że jest Murzynem”.

A nędza? Nędza amerykańskich Murzynów stała się już przysłowia nawet w Ameryce. „Byłem w baraku: 23 osoby spały tam — jedna nad drugą. O! Jakże daleko jesteśmy od słynnej techniki amerykańskiej, regulowanego powietrza, superkomfortu. Powietrze, którym nie sposób oddychać, łachmany, smród. W tej ultra-higienicznej Ameryce ludzie żyją jak zwierzęta...”

Mówi się o amerykańskich paradoksach. Oczywiście: czyż może istnieć większy paradoks niż wielka nowoczesna technika i wielka — ale także prymitywna — nędza. To jest jednak rzeczywistość zupełnie nieparadoksalna: kto przeżył nędzę w pobliżu wykłutu, podwójnie zna jej gorzkość.

Taką Amerykę — realną i prawdziwą — pokazuje Erenburg. Czy nie ma w niej jaśniejszych punktów, zapowiadających nadzieję? W Ameryce wystają ludzie, którzy zaczynają nienawidzić „zamerikanizowanej” Ameryki, powoli robotnicy — dla których monopole często nie są bardziej łitościwe niż dla Murzynów — zaczynają sobie zdawać sprawę ze swej własnej, klasowej, antykapitalistycznej drogi w przyszłość.

I to jest zapewne najprawdawsza i najlepsza Ameryka — jedynie ludzka i jedynie humanitarna. Na tę Amerykę liczy świat pokoju.

Zardzewiała szpilka

W „Szpilkach” ukazała się właśnie odpowiedź prozą i wierszem na nasz felieton o satyrze. Zarówno prozą, jak też i wytwornym poematem napisano jednak wyraźnie zardzewiałą szpilką, (a więc ani starą ani nową, bo stare — w myśl zapewnień redakcji — nie rdzewieją, zaś nowe rdzewieć nie powinny).

We wstępie prozą stwierdza się półgębkiem, że część felietonu była szustna, natomiast część wysoce groteskowa. Słowem — podzielił nasz felieton niby gęś na półmisku: może to i słusznie, bo właśnie stoi my na progu gęstego sezonu. Część felietonu, to szustna, więc zapewne „od głowy”, redakcja zachowała dla siebie, nie mówiąc szerzej, co o niej myśli.

Te druga część, te „groteskową”, więc zapewne od... kupra, dano do oaryzacji poecie. Smakosze powiadają, że to cząstka najlepsza, nie wiadomo więc, czym się mistrz rymu i rytmu zdenerwował? Naigrawa się bowiem bez litości z cytą z listów naszych czytelników i obawieszcza, iż zamawiamu satyrę o... osach, mszycach, wazkach i stonkach!

Jadowne piszcie fraszki Na motyle! Osi! Ważki! No — wrzeczcie, główna rzecz! Na te kietbie we tbie. Precz!!!

Czy aby częstko, podrzuconą au-

torowi poematu, nie za gorliwie o-sklubano z mięsa zdrowego sensu? Czy też gniew budzi fakt, że czytelnicy nie wspomnieli o koniach, żabach, sowaach, puchaczach, lisach, sarnach, wydrach, kunach, łasiczkach, kamarkach, papugach, wróbach, trznanach oraz uczonych szpakach?

Dobroduszny i obrotny satyryk zechciał łaskawie zrozumieć apel dostojnie i pokpiwa z „prostactwów”.

A może nigdy nie był na wsi i nie może pojąć jak w oświele można upaść na pomysł, aby wśród zagadnień walki ze stonką i mszycą szukać tematu do satyry? Np. za niedbania w walce ze stonką to drobiazg! Niech stonki niszczą ziemniaki — obywatel Zabuści i towarzysze będą się żywić bananami!...

Sposoby zardzewiałej szpilki nie obronią jednak „Szpilek” przed słuszną krytyką. Nie pomoże też na deta mina, ani charakterystyczny chichot, podkreślające istotny wydzźwięk chybotanej odpowiedzi „Szpilek”.

„Prawdziwa cnota krytyk się nie boi”.

Nie wątpimy, że na razie cnota nie poprosiła jeszcze o głos w „Szpilkach”, zachowując kłopotliwe milczenie...

(ao) 1

MARCIN CZERWIŃSKI

RAZ JESZCZE O UPADKU PARYŻA*)

„Żalony odwrot” to powieść o założeniu przede wszystkim dokumentarnym, której wielką zaletą jest mocne oparcie fabuły o rzeczywistość historyczną. Obejmuje ona dzieje odwrotu armii francuskiej z nad Mozy aż po Loarę w maju 1940 roku. Powieść ta zbudowana jest z dwóch przelatujących się wątków, z których jeden składa się z przeżyć żołnierzy frontowych, drugi zaś pozwala wejrzeć oczami szefa wojskowego — komunisty w zakamarki maszynierii zaopatrzenia i dowodzenia walczącej armii francuskiej. „Bohaterami głównymi” pierwszego wątku są trzej prości żołnierze. Ich zdrowemu rozsądkowi, niewypaczonemu żadnymi kombinacjami politycznymi lub zawodowymi ambicjami oficerów, poddaje autor pod sąd tożsamość bez wyjątków, dostępni dla poczucia honoru i wierni obowiązkom żołnierza, często jeszcze po dezeracji dowódców. Toczące się na froncie wypadki, które ujawniają brak należytego przygotowania do wojny a w następnym stadium postawę „ratuj się kto może” oficer

JÓZEF BIENIEK

DWUGŁOS

PROPOZYCJE ŚWIETLICOWE

W. Borkowski w artykule „O zagadnieniach teatru świetlicowego” w nr 32 „Wsi” sprowadza rolę sceny świetlicowej przede wszystkim do faktu, że przygotowuje ona widowisko „do odbioru imprez teatru zawodowego”. Sformułowanie to jest oczywiście mało przydatne w stosunku do świetlicy i sceny wiejskiej. Na terenie wsi świetlica i jej teatr stanowią jakby szkołę przysposobienia kulturalnego — tak — ale i społecznego. Ma to być dla wsi taka w swoim rodzaju „edukacja” — nie tylko w zakresie sztuki, ale i w zakresie ogólnego wykształcenia, w tym także w zakresie politycznym, społecznym, gospodarczym i kulturalnym; musi być pokazany udział wsi w rozwiązywaniu tych zadań. Świetlica i jej teatr jako narzędzie przekształcania świadomości społecznej chłopów winna wiązać się przede wszystkim z bieżącą rzeczywistością, odświeżać jej konflikty, rozbrajać wieś ze starych nawyków i przyzwyczaję, utrudniających jej szybsze posuwanie się ku dobrobytowi i kulturze.

Rzecz jasna, że warunkiem spełnienia tych wieloletnich zadań, jakie jesteśmy skłonni stawiać przed świetlicą wiejską jest to, by posiadała ona zdolność wciągnięcia całej gromady w krąg swojego oddziaływania, tworząc w ten sposób jakby zwarte zespoły samokształceniowe, powiązane rozbudowanymi zainteresowaniami i cementowanymi wspólnymi dążeniami. Scena przez treści na niej wystawiane ma szansę stać się dla wsi najbardziej żywym i przekonującym „podręcznikiem”. Nie ulega wątpliwości, że rezultaty takiej „pomocy naukowej” są uzależnione od gatunku i rodzaju tego „podręcznika”. Od przydatności, od przeżywalności środków operacyjnych teatru i świetlicy zależy będzie w dużym stopniu powszechność procesów samokształcenia wsi. I dlatego wydaje mi się, że nie należy lekceważyć pewnych form scenicznych, które na wsi zdają dobrze egzamin i mogą być do wspomnianych celów użyte.

Z własnego doświadczenia wiem, że montaż o pewnej ilości różnorodnych elementów jak: taniec, recytacja, śpiew, monolog, skecz, inscenizacja — znajduje na wsi bardzo żywe przyjęcie. Dobre jednak rozwiązanie takiego „montażu” rewiowego ma być trudnością. Poszczególne imprezy tego rodzaju muszą nie tylko wykazać się dużą inwencją, ale przede wszystkim

stosunkowo umieć widzieć klasowo otaczającą rzeczywistość, gdy chcą — i słusznie — z niej czerpać twórczo do własnych konstrukcji scenicznych. Na ogół brak jest tu rzeczy niezbędnej, bez której i wykwalifikowany kierownik nie ruszy — dobrych wzorów dla tego rodzaju widowiska. Nie stajemy oczywiście na stanowisku, że w takim montażu — rewii, poważnej i palące problemy znajdują swoje pełne oświetlenie, wydaje się nam jednak, że do problemów tych piosenka, skecz czy monolog mogą bardziej chłopów zbliżyć niż pogadanka pospiesznie i bez wyboru zlanego prelegenta. Chodziłoby tu o stworzenie



pewnego rodzaju gotowości, o przygotowanie gruntu dla głębszych przemysłów, dla rozważniejszej już refleksji.

W ramach takiego gatunku jak montaż rewiowy znakomite pole do popisu ma piśmarstwo ludowe. Może ono już nawet w obrębie gromady i gminy właśnie z pozycji klasowych chłostać biczem sztylerstwa i nagany, podłość i chciwość wrogów klasowych; zaoferować społeczne, niedociągnięcia gminnej administracji, przestroje lokalnego biurokratyzmu, błędy popełnione w spółdzielni gminnej itp.

Zdarzyło się w mojej okolicy, że gospodarz połamanej zębami swoim służącemu, bijąc go za to, że nie stanął do roboty, służącego nie usprawiedliwiła w oczach gospodarza jego ciężka choroba. Wypadek ten nie pierwszy i nie ostatni. Niezwykle to atmosferze wsi decyduje jeszcze element kulacki, przyczyniony narzucający tradycje kumpeterstwa i siłach, ile jeszcze z tego strony kłamliwych podszeptów i jawnej niechęci, jako środka mającego obezwładnić inicjatywę biernej części wsi. Właśnie te sceny

wiejskiej jak z trybuny ludowej powinny padać słowa potępienia pod adresem tych wrogów klasowych, tu powinno ich się dostatecznie silnie wyszydzać, ośmieszać i odepierać z posiadanej aurytety. Taka „ekskomunikacja” będzie na pewno skutkować. Szybko i radykalnie.

Przy montażu rewiowym właśnie można dokonać dużego zaciągu samorodnych talentów wiejskich, niezdolnych do zbudowania szerszej kompozycji scenicznej, ale mających łatwość tworzenia drobniaków, które mogą wejść w całość omawianego przez nas rodzaju widowiska. Ta sprawa ma dzisiaj dla nas specjalne znaczenie, gdyż chodzi o

wprowadzenie na scenę tematyki, związanej z życiem i dokonującymi się przemianami. Ta tematyka przychodzi właśnie od mas ludowych, jako wyraz świadomości przez przeżywanych procesów i przeobrażeń. Byłoby sprawą — wydaje mi się — bardzo pożyteczną, gdyby zmusić do większego wysiłku te własne setki i tysiące „samorodnych” talentów, dla których przedtem jedyną formą artystycznego wyrażenia było skomponowanie na weselu czy zabawie wiejskiej satyrycznego wiersza. Dużą pomoc mogą tu okazać pisma dla wsi o masowym zasięgu takie jak „Gromada”, „Chłopska Droga”, „Rolnik Polski”, „Chłopi”. Ogłaszane w nich konkursy na drobniaki sceniczne w formie piosenek satyrycznych, wierszy, monologów i dialogów, podchwytyjących dzisiejszą rzeczywistość wsi — na pewno pchnęłyby setki drzemających talentów chłopskich do chwycenia „za pióro”. Można by pojąć o zakład, że dostarczyłyby oni całego spłazna aktualnego materiału scenicznego, z którego po selekcji mógłby świetnie korzystać każdy kierownik świetlicy.

„montażu rewiowego”, ale nie wolno się do niego ograniczać, bo jak słusznie podkreśla Maria Czanerle w 4 nr „Nowych Drog” w artykule „Zagadnienia teatru świetlicowego”: „Wartości kulturalno-estetyczne, jakie widzowi czy wykonawcy dostarcza przeciętny, składany z różnych fragmentów montaż — można porównać do smakowitych ogryzków z pańskiego stołu, które pełnospektaklowym daniem jest sztuka dobrego pisarza, obojętnie — dawnego czy współczesnego”. Tworzenie dobrego „montażu rewiowego”, dopuszczalnego jako jedna z cennych form scenicznych teatru amatorskiego jest uwarunkowane pogłębieniem kultury literackiej i ideologii tego środowiska, które go będzie projektowało i wykonywało. A to pogłębienie może dać i daje dopiero sztuka wprowadzająca w pełną kulturę. I z niej wiejski teatr amatorski musi czerpać pełnymi garściami.

W numerze 41 (220) TYGODNIKA „WIEŚ” Z DNIA 9 PAŹDZIERNIKA 1949 ROKU

Bieniek Józef — Książka w walce klasowej; Cieślak Stanisław — Polsko-Radzieckie stosunki gospodarcze; Gąsiorowski Stanisław — Pieśń Oracy; Jażdżyński Wiesław — Na drodze rewolucyjnej; Kowalski Władysław — W pełnym świetle krytyki; Kapnys Statys — Czerwony Tabor; Lisowski Kazimierz — Rzeźba Stalin tundra słucha; Pawłow — List do młodzieży; Martuszkowski Edward — Film na wsi; Marszałek Jan — Ożywić biblioteki; Nuri Annaklycz I Ata-Sulich — W moim kraju; Olcha Antoni — Zaslugi czytelników; Oleksik Klemens — Wakacje w miasteczku; Piwarski Kazimierz — Tito i jego klika pod przegierzem; Skiba Maciej — Autor pieśni; Wasilewski Andrzej — Tematy literackie; Weryha Darowski Aleksander — Rok 1861. Lament Skwirski; Fakty i zdania; 20 ilustracji; 8 stron

Kraich atomowej dyplomacji

Szantaż jest od dawna ulubionym narodowym chwytem amerykańskim. Nie tylko w powieściach kryminalnych. Stosuje go z równą satysfakcją gangster z Chicago jak i wyfraczona dyplomacja z kulaarów Białego Domu.

Jak powszechnie wiadomo, w Ameryce wszystko jest w wielkim stylu. Nie wyłączając bezrobocia i nędzy Haarlemu. Nic nie da się jednak porównać z uprawianym bezwstydnym od 1945 r. przez dolarowych polityków z Wall Street szantażem bronią atomową. Bo czy nie było w wielkim stylu hipnotyzowanie milionów naiwnych (a naiwnych nigdy na świecie nie brak) bombą atomową zawieszoną, jak nad świnkami z Bikini?

Metoda była tak „serdeczna” amerykańska, że nawet osławiony przez nowojorski dziennik New York Herald Tribune w przystępie entuzjazmu zdobył się na szczere, choć niemniej cyniczne wyznanie, że „bomba atomowa jest najmocniejszą podstawą amerykańskiej dyplomacji”.

To było dokładnie rok temu. Gdyby redaktor New York Herald Tribune wtedy patrzył na świat nie przez pryzmat dolara, lecz jak zdrowo myślący człowiek, powyższa deklaracja o podstawach amerykańskiej dyplomacji zapewne nie ujrzałaby światła dziennego. Niestety redaktor New York Herald Tribune, jak się okazało, nie grzeszy zbyt dużą jasnością umysłu, a krąk złota nie zastąpi w żadnym wypadku szłach dla krótkowidza. No i cóż! Szczęściem nie popaliła. Opublikowany przez agencję TASS i przyniesiony przez agencję anglosaskie fakt eksploatacji atomowej w Związku Radzieckim i posiadania bomby atomowej przez ZSRR postawił redaktorów New York Herald Tribune i jego mocodawców z Wall Street w dość kłopotliwej sytuacji. Bo „najmocniejszą podstawą amerykańskiej dyplomacji” diabli wzięli. Trzeba jej wypisać żenujące epitafium.

Atomowy aeropag z Waszyngtonu historycznie załamuje ręce. Wtórnie mu w tym wierny „his master's voice” z drugiej strony Atlantyku nasz stary znajomy Churchill z właściwą mu od pewnego czasu melancholią.

Podobno zapanowało w Izbie Gmin ogólne wycieranie nosów, gdy ten czcigodny mąż stanu zagaił: „No i cóż! Szczęściem nie popaliła. Czas się bardzo ciężko”.

„Dla podległości wojennej” — TAAK!!!

Senator de Bossio

walczy z bezrobociem

Plaga krajów marshallowskich jest bezrobocie. Okazało się, że bacył bezrobocia ze szczególną zaciętością atakuje organizmy poddawane dolarowej kuracji. Zresztą nikt z dolarowej arystokracji nie plaga się nie przejmując na serio. Nie uderza jej przecież po kieszeni. Wręcz przeciwnie, szarlatani z Wall Street uznają bezrobocie za zjawisko normalne a nawet pożądane. Organ wielkiego kapitału amerykańskiego Barron's oświadcza, że „wyrzucanie robotników jest wprawdzie bolesne (dla kogo?), ale za to pozostali pracują wówczas szybciej i sprawniej”. W kołach Białego Domu twierdzi się wyraźnie, że bezrobocie nie jest takie straszne i że dobrze jest mieć na rynku tłumy poszukujących pracy. (sic!).

Nie zaprzatają sobie głowy problemem bezrobocia również chadające Włochy. Czcigodni senatorowie uważają, że są pilniejsze sprawy do załatwienia. O bezrobociu się nie wspomina. Nie, przepraszam, był wyjątek. O bezrobociu mówił signor de Bossio senator chrześcijańskiej demokracji, co prawda w warunkach dość dziwnych, a mianowicie w czasie dyskusji nad projektem ustawy o zwalczaniu prostytucji. Signore de Bossio stanowczo oparł się projektowi zamknięcia domów publicznych argumentując, że ograniczenie prostytucji zwiększyłoby bezrobocie kobiet we Włoszech. Oczywiście metody walki senatora de Bossia z bezrobociem zastępują na pełne uznanie. Skrupuły etyczne. Te nie liczą się odkał watykański mentor pouczył dokładnie, że wiara i etyka powinny czasem ustępować polityce. P. S.

Skomplikowana sprzedaż

Znane są losy wizyty Bevin'a w Waszyngtonie. Labourystowski minister przywiózł z Departamentu Stanu devalucję funta, a co za tym idzie — wzrost trudności gospodarczych i nędzy mas robotniczych Anglii. Wiadomo też jednak, że rozmowy Bevin'a z Achesonem nie dotyczyły tylko spraw europejskich. Mówiono także o Azji. Jak informuje anglosaska prasa Bevin zawiózł do Ameryki propozycję „ekonomicznego wycofania się Anglii z Indii, podobnie jak wycofała się ona z Grecji w 1947 r.” Istotę bevinowskiej propozycji sprzeciwiał dziennik „New York World Telegram” z dnia 13 sierpnia b. r. „Indie, Pakistan i Ceylon korzystają w Londynie z kredytów, którymi chciałyby zrealizować i użyć w swej działalności ekonomicznej. Nawet ograniczone ustępstwa wobec tych żądań stanowiłyby wielki ciężar dla skarbu angielskiego. Z tego powodu Anglia chciałaby, ażeby Stany Zjednoczone zabezpieczyły

te zobowiązania w ten lub inny sposób”.

Znaczy to po prostu, że Anglia nie może spłacić długów zaciągniętych w swych koloniach i dominiach i nie starczy jej środków materialnych do zawiadywania nimi — woli więc nie mieć ciężar przerzucić na barki Ameryki.

Ale amerykańscy kapitaliści wolą w inny, mniej kosztowny sposób zagarnąć angielskie posiadłości. Zmuszają kraje azjatyckie do zniesienia ceł ochronnych, żądają od nich specjalnych gwarancji handlowych zalewając rynki azjatyckie swoimi towarami. A Bevin? Może sprzedać już tylko Anglię, angielskie kolonie Ameryka zabiera bez pytania o jego zdanie.

Nibilistyczny

» amerykanizm «

Rząd i imperialiści amerykańscy dowodzą swej wielkiej misji dziełowej w rekonstrukcji świata. Starają się udowodnić, że wiek XX — to ponoc wiek... „ducha amerykańskiego”. Główną kosmopolityczną teorię — w tym tylko celu, by osłabić walkę narodowo-wyzwoleńczą krajów uciemiężonych i kolonialnych — a równocześnie propagują „amerykański styl życia” — jakby ten „nowy” i „cudowny” wynalazek był wyrazem conajmniej absolutnej doskonałości. Utworzyli nawet komisję do badania działalności antyamerykańskiej, jakby pojęcie „amerykański” nie było w ich ustach równoważne z pojęciem „imperialistyczny”.

W całym zagadnieniu jest tylko jedno, wielkie „ale”. Otóż poza tą głośną i napuszoną fanfaronadą tkwi całkiem przyziemny nihilizm imperialistyczny, niewiara — jeśli nie pogarda — do jakiegokolwiek wartości moralnych, kulturalnych, społecznych (z wyjątkiem zapewne jednej wartości: złotej). Charakterystyczne uwagi na ten temat porysował amerykański uczeń, prof. Nash w książce „The University and the Modern World”. Stwierdza on mianowicie, że większość amerykańskich i angielskich studentów nie posiada żadnego celu życiowego, w nic nie wierzy i do niczego nie zmierza.

Prof. Nash nazywa ten stan sceptycyzmem — ale to jest raczej — nihilizm, zrodzony z bezsensu imperialistycznego społeczeństwa.

Na czymże więc polegała wartość „ducha” amerykańskiego? Czyż nie na braku wszelkiej wartości i nihilizmie?

I ten nihilizm chce światu zaszczyć Ameryka!

K.

O czym nie chce pamiętać p. Tognbee

Nikt zaprawdę nie wątpi już, że satelici Stanów Zjednoczonych nie posiadają minimalnej nawet samodzielności. Wiedzą oni o tym równie dobrze, jak my.

Otóż przed niedawnym czasem angielski profesor, członek królewskiego towarzystwa łączności międzynarodowej, Tognbee ogłosił artykuł, w którym między innymi można było przeczytać: „starania krajów Zachodnio Europejskich albo Kanady, by prowadzić swoje gospodarstwo w charakterze samodzielnych jednostek wydają się w obecnym okresie tak nie poważne, jakby „państwowy stan” New York starał się wyłączyć ze związku — w celu rozpoczęcia samodzielnej egzystencji”.

Marshallowski profesor uważa ten stan rzeczy za słuszny, ba, jedynie słuszny. Tylko zapomina przy tym, że ten cały związek marshallowski jest podstawową przyczyną wzrostu nędzy i ubóstwa gospodarczego w krajach zależnych od Stanów Zjednoczonych. Że to przecież jego kraj pogrążył się coraz więcej w trudności gospodarcze przede wszystkim z powodu uzależnienia się od Stanów Zjednoczonych. Przemysłowe to i wysoce polityczne zapomnienie. Ale czasem warto nawet zrezygnować ze swej samodzielności dla „wyższych” celów. Uratowania władzy monopolistów i imperialistycznego kapitalizmu. Czy nie prawda?

Wolny Francuz

Nr 40 „Odrodzenia” zamieszcza głos pisarza radzieckiego Walentego Katajewa o blarzu francuskim Louisie Aragonie, który został pozabawiony przez rząd francuski praw obywatelskich. W. Katajew m. in. pisze:

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Tel. Redakcji 8-00-61 do 6, wewnętrzny 87.

Wyd.: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
REDAKCJA NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja — WARSZAWA, Starynkiewicza 7.

W a r u n k i p r e n u m e r a c y j:
miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś”.

Drukarnia nr 2 Spółdz, Wyd.-Ośw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/5.
B-90109

MACIEJ KOLIBA

MONTAŻ—JEDNĄ Z FORM

Józef Bieniek, pisarz i działacz kulturalny z wsi rzęsowskiej, postuluje konieczność wypracowania jaknajlepszych form scenicznych dla widowiska, które nazywa „montażem rewiowym”. Nie znać to oczywiście, że uważa ten rodzaj za jedną i najwłaściwszą formę wypowiedzi dla wiejskich zespołów amatorskich. Propozycja ta płynie częściowo z zamówienia społecznego samej wsi, na dobrą sprawę biorąc jest dość załosną koniecznością, jest środkiem zastępczym. Zaraz wyjaśnimy dlaczego.

Sytuacja na odcinku wiejskim jest poważnie inna niż robotniczym. Tu najgłębsze korzenie zapuścił wróg klasowy, ma on sprzymierzeńca w ciężkiej przeszłości wsi, w jej obciążeniach ciemnotą, zaoferowaniem gospodarczym. Wieś jest ciągle jeszcze terenem ostrej walki klasowej. Dla jej postępowych sił społecznych, rekrutujących się z drobno- i średnioludnych chłopów, gdy ci ostatni niejednokrotnie są jeszcze elementem wahającym — niesłychanie cennym sprzymierzeńcem w walce musi być wiejski teatr amatorski. Oczywiście, że najlepszym dla niego narzędziem oddziaływania byłaby udratyzowana satyra społeczna, czy komedia polityczna, która by ogarniała aktualną problematykę wsi. Niestety tego rodzaju sztuk nie mamy. Nie stworzyliśmy jeszcze dla naszych czasów takiej komedii, jaką dla epoki stanisławowskiej był „Powrót poła” Niemcewicz.

Te trudna sprawa Bieniek proponuje rozwijać przynajmniej na razie „sposobem gospodarczym”. Pisarze, literaci, niech chodzą do radz, jak poprawnie zbudować widowisko, do którego elementów dostarczą sami chłopci. Sprawa w tej chwili dla działacza wiejskiego najważniejsza jest to, by takie widowisko miało silne akcenty społeczne, by mobilizować wieś w walce i pracy. Apel jest tutaj słuszny i do pisarzy i redakcji pism. Faktem jest, że również amatorski teatr robotniczy, jak i teatr zawodowy — cierpi na brak sztuk o tematyce aktualnej. Widz teatru amatorskiego czy zawodowego pragnie zobaczyć na scenie sprawy, którymi dziś żyje. Stąd Bienikowa propozycja, by — gdy nie możemy wsi zafiarować dobrej komedii politycznej — troskliwą opieką otoczyć te formy, które rodzą się wśród samych „niezaspokojonych”

Są tu oczywiście i poważnie niebezpieczeństwa. Gdy sprawę oddaje się w ręce kierownika świetlicy, gdy społeczny montaż o technice rewii, ma być każdorazowo improvisacją tego ostatniego, to zachodzi obawa, że wyniki nie zawsze mogą być zadowalające. Trzeba dużej kontroli i czujności, by „montaż rewiowy” był artystycznie wartościowy i ideologicznie poprawny. A wiemy wszyscy dobrze, że kierownicy świetlic wiejskich i zespołów amatorskich to często ludzie o najlepszej woli, ale nie zawsze o wystarczających kwalifikacjach dla dobrego zmontowania tego rodzaju widowiska.

W propozycji Bienika niewątpliwie cenna jest próba wciągnięcia samych chłopów, późniejszych aktorów i widzów w proces tworzenia widowiska. W tej sytuacji cała gromada już w trakcie przygotowania spektaklu byłaby nim zainteresowana, bo przecież „rzecz o niej by szła”. Tu byłby potrzebny „wyjście” na taką wieś pisarza, aktora — z korzyścią dla obu stron.

To rozbudzenie wsi, zainteresowanie własnym teatrem, można by znakomicie wykorzystać przy puszczaniu pełnospektaklowych sztuk, które by chłopcy mówili już o sprawach szerszych, odświeżali historyczne dzieje jego klasy, pokazywały na przestrzeni dziejów i dzisiejszej chwili grę sił społecznych o postępie, walce mas pracujących o sprawiedliwe stosunki społeczne.

Sytuacja teatru amatorskiego jest już dzisiaj o wiele lepsza niż przed dwoma laty. Istniejący wówczas kryzys repertuarowy, co potwierdził w 1947 roku I-szy Ogólnopolski Konkurs Artystyczny Zespołów Świetlicowych, organizowany przez KCZZ — jest już dzisiaj w dużym stopniu przezwyciężony. Biblioteczka repertuarowa KCZZ dostarcza świetliom wartościowych artystycznie i ideologicznie utworów.

Przed kierownikiem świetlicowym nie stoi więc już problem: „co grać”. Ma do dyspozycji około 40 pozycji, na które składają się adaptacje i oryginalne utwory klasyków i pisarzy współczesnych. Jest więc z czego wybrać. Z tego dorobku nie wolno mu rezygnować. Jeżeli nie zaspakaja on całkowicie potrzeb dzisiejszej widowni wiejskiej, jeżeli odczuwa ona głód aktualnej problematyki, to można i należy ten repertuar uzupełniać dobrą próbą

„montażu rewiowego”, ale nie wolno się do niego ograniczać, bo jak słusznie podkreśla Maria Czanerle w 4 nr „Nowych Drog” w artykule „Zagadnienia teatru świetlicowego”: „Wartości kulturalno-estetyczne, jakie widzowi czy wykonawcy dostarcza przeciętny, składany z różnych fragmentów montaż — można porównać do smakowitych ogryzków z pańskiego stołu, które pełnospektaklowym daniem jest sztuka dobrego pisarza, obojętnie — dawnego czy współczesnego”. Tworzenie dobrego „montażu rewiowego”, dopuszczalnego jako jedna z cennych form scenicznych teatru amatorskiego jest uwarunkowane pogłębieniem kultury literackiej i ideologii tego środowiska, które go będzie projektowało i wykonywało. A to pogłębienie może dać i daje dopiero sztuka wprowadzająca w pełną kulturę. I z niej wiejski teatr amatorski musi czerpać pełnymi garściami.

W numerze 41 (220) TYGODNIKA „WIEŚ” Z DNIA 9 PAŹDZIERNIKA 1949 ROKU

Bieniek Józef — Książka w walce klasowej; Cieślak Stanisław — Polsko-Radzieckie stosunki gospodarcze; Gąsiorowski Stanisław — Pieśń Oracy; Jażdżyński Wiesław — Na drodze rewolucyjnej; Kowalski Władysław — W pełnym świetle krytyki; Kapnys Statys — Czerwony Tabor; Lisowski Kazimierz — Rzeźba Stalin tundra słucha; Pawłow — List do młodzieży; Martuszkowski Edward — Film na wsi; Marszałek Jan — Ożywić biblioteki; Nuri Annaklycz I Ata-Sulich — W moim kraju; Olcha Antoni — Zaslugi czytelników; Oleksik Klemens — Wakacje w miasteczku; Piwarski Kazimierz — Tito i jego klika pod przegierzem; Skiba Maciej — Autor pieśni; Wasilewski Andrzej — Tematy literackie; Weryha Darowski Aleksander — Rok 1861. Lament Skwirski; Fakty i zdania; 20 ilustracji; 8 stron

Prawdziwy i jasny głos Aragona, głos uczciwego francuskiego pisarza i patrioty, przeraża podlegaczy wojennych, straszy inspirantów i wykonawców planu Marshalla.

Dla nich Aragon jest groźny i nienawistny, ponieważ starczy mu męstwa i zdecydowania, aby w obecnej sytuacji powiedzieć: „Jako człowiek i jako pisarz uczestniczę w Kongresie Obronców Pokoju dla tego, żeby pokazać, że nie jestem współkompanem podlegaczy wojennych, nawet tych, którzy reprezentują mój rząd.”

Dla mnie to zagadnienie honoru i nie tylko honoru osobistego. To zagadnienie dumy narodowej. Nie zapomniałem tego, że niemieccy inteligenci milczeli wtedy, gdy Hitler zagroził światu i niszczył go”.

„My potrafimy zespolic się i zrozumieć przyjacieli przyjaciela. My potrafimy wygrać bitwę o pokój, to jest walka o życie”.

Kolaboracjonistom rządu Vichy przywraca się prawa obywatelskie. Aragona pozabawia się go!

Gra jest zupełnie przejrzysta. Aragon niedawno napisał powieść „Komuniści”.

Można się ludzi, że tego, kto napisałby powieść „Faszyści” lub „Vichyści” (ma się rozumieć w dogodnym dla pana Mocha duchu), nie pomyślanoby nawet pozabawiać praw obywatelskich. Przeciwnie, amerykańscy lokaje, — rządzący Francją, popierają literaturę faszystowską.

Emigracja,

proszę państwa

W jednym z ostatnich numerów emigracyjnego „Robotnika” czytamy o działalności Zjednoczenia Polskiego Uchodźstwa Wojennego: „Konsekwencje tego rodzaju działalności były dla organizacji godne pożałowania. Pozostała pusta kasa, wielkie zadłużenie, nieuregulowane od szeregu miesięcy płace pracowników biura, zwinęta płaszczyzna działania społecznego”.

Mało pocieszające, co?

W Londynie czy Paryżu, w Niemczech czy Stanach Zjednoczonych, wszędzie na terenie emigracji ta sama atmosfera prywatnych interesów pod płaszczykiem ideowości. Nie inaczej zresztą ocenia emigrację sam sanacyjny „Robotnik” na następnej stronie:

„Emigracja, proszę państwa, to jak emigracja. I to ideal, trochę dżentelma, spór blagi i cygaństwa, nuda, brzydota i stagnacja, hulajdolek zaoferowania, brzydkość, kombinacja, kamieniczki.
I sanacja”.

p. p.

Gimnazjum dla działaczy

Ob. Redaktorze! Nie wszyscy na wsi, zwłaszcza aktywiści polityczni i społeczni wiedzą o istnieniu korespondencyjnego Gimnazjum i Liceum Związku Młodzieży Polskiej w Łodzi. W ub. roku szk. w gimnazjum pobierało naukę 5.000 uczniów! Uczniowie gimnazjum, to przeważnie ci, którzy na skutek polityki kulturalnej sanacji, a potem wojny, nie mogli ukończyć, albo nie mogli w ogóle studiować w szkole średniej.

Dziesiątki tysięcy tych ludzi pracują dziś po fabrykach, kapalnach, gospodarstwach, biurach, urzędach. Są wśród nich niewykwalifikowani nauczyciele, urzędnicy, robotnicy, chłopci, działacze społeczni i polityczni.

Wszyscy swoją pracą przyczyniają się do odbudowy Polski. Korespondencyjne Gimnazjum i Liceum, nie odrywa ich od warsztatów pracy, umożliwia swym „dorosłym” uczniom zdobyć wiedzę, podnosząc ich kwalifikacje zawodowe, popularyzując akcję kształcenia się wśród najszerszych mas społeczeństwa.

Jako jeden z tysięcy uczniów Korespondencyjnego Gimnazjum i Liceum polityczny — chciałbym tą drogą zwrócić uwagę wszystkim aktywistom terenowym, partyjnym i bezpartyjnym, na konieczność pogłębienia swych wiadomości teoretycznych na konieczność dalszego kształcenia się, uzupełnienia swych studiów. Na naukę nie jest za późno! Sprawa szkolenia zaś jest dziś jednym z elementów walki klasowej na wsi i w mieście. Dla mas, aktywistów, szczególnie zaś dla członków ZMP, sprawa uzupełnienia studiów (nie tylko na poziomie szkoły podstawowej) jest sprawą w pierwszym rzędzie pożywczą.

Od tego, jak się ustosunkujemy do sprawy nauczania siebie i innych, zależy będą na pewno wyniki naszej działalności na terenie gromady, gmin, powiatu.

t. p.